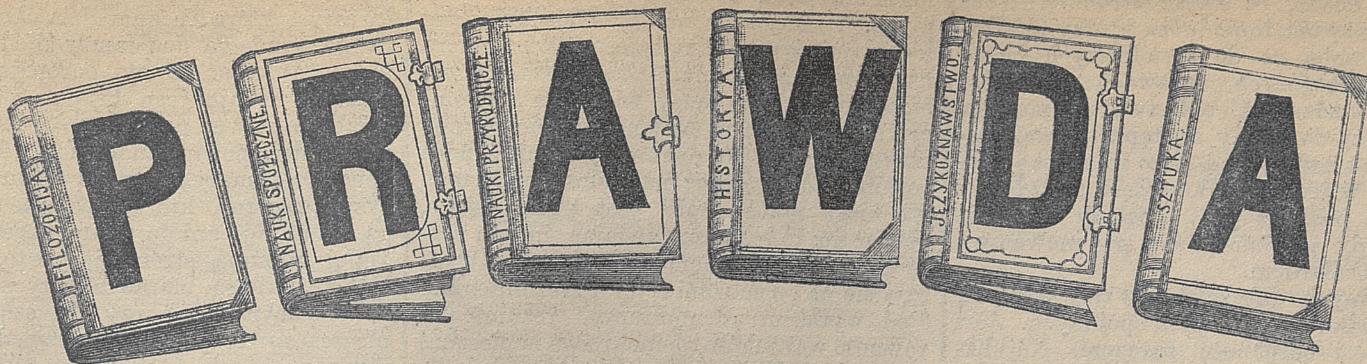
Nr. 6. Warszawa, dnia 8 Lutego (27 Stycznia) 1890 r. **Rok X.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt wyjątkiem od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

REFORMA SZKÓŁ.

Zapowiedziana i postanowiona reforma gimnazyów jest obecnie najważniejszą, nietylko umysłową, ale i polityczną sprawą w Rosyi; bo jakkolwiek nie dotyczy ona organizacyi państwa, będzie miała doniosły wpływ na kształcenie się tego materyału, z którego ono urabia swe systemy i swe organy. Do tej chwili wszakże nie możemy jeszcze mówić o prawie, bo ono nie zostało wydane, ale o zasadzie, która je zrodzi i o głosach opinii publicznej, w których wyrażają się poglądy i życzenia prywatne. Naturalnie głosy te odzywają się przedewszystkiem w prasie ruskiej i — przyznać trzeba — z wyjątkiem paru zaledwie rozdźwięków tworzą chór dość zgodny, a dotychczasowemu typowi klasycyzmu gimnazyalnego stanowczo nieprzyjazny. Wszystkie, nawet te, które kiedyś inaczej brzmiały, twierdzą jednomyślnie, że typ ten przeciąża uczniów pracą nadmierną a bezowocną, gdyż kładąc główny nacisk na stronę gramatyczną języków martwych, nie otwiera tego świata, który w nich skamieniał, bo szkoły klasyczne nie dają swym wychowańcom wiedzy klasycznej, że zresztą życie stawia inne a niezłomne wymagania, które uwzględnić należy pod groźbą wielkich strat umysłowych i społecznych. W polemice z *Pet. Wiedomostiami*, które z nieliczną garstką pism pokrewnych wystąpiły w obronie systemu obecnego, *Nowosti* zaakcentowały jeden punkt sprawy bardzo szczęśliwie. „Właściwie— pisze ta gazeta— niema dziś w Rosyi szkoły *ogólnej* w tem znaczeniu, jakie jej nadaje nazwa klasyczna „gimnazyum." Z przeważną tedy większością musimy pragnąć, ażeby gimnazya zostały zreformowane w sposób odpowiedni celowi, tj. aby służyć mogły *każdej* jednostce inteligentnej bez względu na widoki utylitarne lub specyalne. Jeżeli reforma taka będzie dokonaną, wówczas szkoła ogólna pozyska sympatyę powszechną. Dziś stanowczo rzec można, że gdyby nie sztuczne zamknięcie drogi uczniom „świadectwem dojrzałości," otwierającem wstęp do uniwersytetów, gimnazya pozostałyby puste. Czyż więc nie lepiej tak zorganizować wykształcenie średnie, aby potrzeba jego rozumianą była przez wszystkich wbrew pobudkom czysto praktycznym?"

Uwagi te nie sięgają do rdzenia rzeczy i nie rozstrzygają zasadniczej kwestyi wartości dwu kierunków ukształcenia, ale rzucają jasne światło na jeden z nich. Rzeczywiście, Rosya nie posiada szkoły *ogólnej*, rozwijającej wszystkie władze umysłowe uczniów i przygotowującej grunt dla wiedzy specyalnej. Ochrzczone tem mianem gimnazya są zakładami daleko bardziej jednostronnymi, niż szkoły realne, gdyż uprawiają głównie mechaniczną tresurę w prawidłach gramatycznych grecko-łacińskich. Gazeta petersburska bardzo słusznie zauważa, że gdyby tym specyalnym seminaryom klasycznym odjęto przywilej otwierania podwojów uniwersytetu, opustoszałyby zupełnie. Bo któżby oddał syna na dziesięcioletnią naukę do szkoły, z której on wyniesie znajomość wprawnego robienia ćwiczeń greckich i łacińskich? Ani ta umiejętność na nic mu w życiu się nie przyda, ani straconego na nią czasu późniejsza praca nie wynagrodzi. Zgodnie z powyższym wywodem *Kijewlanin* pyta: jeżeli chodzi o wysoki stopień wiedzy klasycznej, dla czegoby obecnej szkoły dziewięcioklasowej (ze wstępną) nie podnieść do dziesięcio lub dwunastoklasowej, a wtedy 20—25 letni uczniowie umieliby dokładnie objaśnić każdy wiersz Horacego lub Sofoklesa. „Równocześnie — powiada logicznie ten dziennik— należałoby kurs uniwersytecki przedłużyć do lat 8 lub 10 i wypuszczać filologów, prawników, lekarzy w wieku czterdziestoletnim." I dziś już nierzadkie są okazy studentów trzydziestoletnich; a kiedyż ci ludzie znajdą czas na zdobycie stanowisk, na praktyczne przygotowanie się do pracy zawodowej, na stworzenie sobie rodzin i materyalnej dla nich podstawy? I na co zstrwonili kawał życia? Na gramatykę grecką i łacińską. Okropna strata!

Ile z życzeń prywatnych przesiąkło do sfer urzędowych — określić nie umiemy; ale to nie ulega żadnej wątpliwości, że w sferach tych postanowiono ograniczyć panowanie *extemporaliów* i wogóle okroić zbyt rozrosły klasycyzm gimnazyalny na korzyść innych potrzebniejszych nauk. Niedługo zapewne oczekiwanie wyniku narad komisyi będzie zaspokojone odpowiednią ustawą. Powtarzamy, cośmy już raz rzekli, że gdyby dla niej potrzeba było szukać wzoru, najlepiej podobno usłużyłby celowi ten, według którego zreformowano gimnazya na początku siódmego dziesiątka lat bieżącego stulecia. W tej epoce były one również klasyczne, ale ten klasycyzm jakże rozumnie był zrównoważony z innymi żywiołami wykształcenia!

„POLITYKA."

Paweł Janet. *Polityka*. Tłomaczenie z francuskiego. Warszawa i Petersburg, 1890, str. 88.

Lata 1814—1815 były we Francyi chwilą narodzin Karty burbońskiej, łączącej w sobie, jak zapewniano, szczęśliwie i rozumnie dobre pierwiastki parlamentaryzmu angielskiego z takimiż francuskiego „ancien régime." Trzecim składnikiem tej mieszaniny był osad prawno-społeczny, pozostawiony przez rządy Napoleona I-go.

Na roli, tak uprawionej, wnet wschodzą cztery szkoły filozoficzno-polityczne, które następnie zróżniczkowały się na liczniejsze poddziały. Pierwszą z nich dowodzi Bonald wraz z de Maistrem; tu stoją rojaliści i arystokraci. Czoło drugiej zdobią tacy zwolennicy konstytucyi oraz liberalizmu, jak Royer-Collard, Benjamin Constant i Guizot. Demokratom hetmanią Destutt de Tracy, Armand Carrel, Tocqueville, de la Mennais (Lamennais). Socyaliści wreszcie wysuwają przed front Fouriera, Ludwika Blanca i Proudhona.

Należy dodać, że każde stronnictwo zawierało w swem łonie ludzi, którzy zgadzając się z sobą co do zasadniczych haseł, w podrzędniejszych sprawach odmienne wyznawali zdania. Ci tedy tworzyli pomost, prowadzący do szkoły następnej, skrajniejszej. I tak naprzykład jako rojalista i arystokrata w jednej z Bonaldem służył chorągwi, a przecież jego poglądy na Kartę skuwały go łańcuchem powinowactwa z Royer-Collardem.

Liberalnych dąbczaków aż trzy wyrosło, u dołu tylko w jeden pień spojonych. Jest to i całość i odrębność zarazem. Najbliższymi szkole poprzedniej są doktrynerzy; ci przejąwszy w spadku zdobycze rewolucyi i broniąc zasady kontroli ich nad rządem, uważali równocześnie monarchię jako nieodzowną tamę przeciw zapędom demokracyi. Marzenie utrzymania w społeczeństwie przewagi klas wyższych, majętniejszych przyświecało stale ich działalności publicznej i publicystycznej. Liberalni właściwie sięgają nieco dalej; według nich z prawa głosowania powinna korzystać możliwie największa ilość współobywateli, parowie dziedziczni są skazani na zagładę, prawa korony należy wzorować na tychże w Anglii. Między dwa te odłamy wcisnął się trzeci, który utrzymywał, że konstytucya nie jest celem sama przez się, jeno środkiem, służącym rządowi do ochrony przemysłu i oświaty. Głównem zadaniem rządu powinno być zdobycie dla ludu dobrobytu.

W rozwoju demokracyi francuskiej widnieją dwa okresy: pierwszy należy do ideologów, którzy pozostali wiernymi niemal całej konstytucyi w III roku ery republikańskiej, nienawidząc atoli Jakobinów; drugi urodził tych, którzy stając na gruncie nowożytnym, uniewinniają przecież Konwent.

Socyalizm francuski wreszcie rozpoczął od domagania się królestwa kapitału (saint-simonizm); później nadeszły: furyeryzm, owenizm, ikaryzm. W czwartym lat dziesiątku demokracya łączy się uściskiem gorącym z tą ostatnią szkołą; powstaje socyalizm demokratyczny, który ze względu na swój cel ostateczny rozczepia się na gałąź: komunistyczną i monarchiczną.

Aleksy de Tocqueville, umysł, jak wielokrotnie stwierdza Janet, wyższy, niezależny, śmiały, stał w szeregach demokracyi. Pióro jego zdobiła bezstronność; wiedzą, acz nie głęboką zrazu, podsycał obserwacyę teraźniejszości, historyę bowiem począł badać znacznie później. „Tocqueville— to obserwator, ale nie statystyk: nie lubi faktu dla faktu, ale upatruje w nim znak myśli. U niego nic nie jest odosobnionem; każdy pojedynczy fakt żyje, mówi, nabiera fizyonomii i znaczenia." *Democratie en Amérique* powstało na mocy wiary, że „rewolucya demokratyczna była nieuniknioną, albo raczej, że była już dokonaną; zamiast więc rozumować *à priori* nad słusznością tego wielkiego faktu, lepiej jest, podług niego, zbadać go; to też pozostawiając innym roztniecanie lub tłumienie rewolucyi, ograniczył się na poznawaniu jej i zrozumieniu." Pod wyrazem „demokracya" rozumie on: równość warunków (demokracya społeczna) i wszechwładztwo ludu (demokracya polityczna). W otoczeniu prawidłowem wzrost jednej z nich podsyca i drugą również, ponieważ stałym celem rządu demokratycznego jest dobrobyt jak największej liczby obywateli, a równość warunków popycha ludzi do zdobycia takiejże politycznej. „Demokracya niżej stoi może od arystokracyi pod względem talentów wybitnych i wielkich dzieł, ale w niej wszyscy są mniej więcej wykształceni, wszyscy mniej więcej światli." Następnie „jedno z większych dobrodziejstw demokracyi stanowi złagodzenie obyczajów i rozwój uspołecznienia wśród ludzi." W życiu zdemokratyzowanego społeczeństwa przejawia się „mniej powagi, lecz więcej uczucia." Nadto „rozwinęła ona (demokracya) w ciele społecznem silny ruch i wielką działalność." Tak przedstawiają się korzyści urządzeń demokratycznych; ich braki natomiast brzmią: niestałość praw, upośledzenie zasługi w rządzie, nadużycie jednostajności, nadmierne pożądanie dobrobytu, a przedewszystkiem dążność do tyranii. W końcu demokracya zwolna wytwarza niewolę myśli i wyciska piętno mierności — bo większość i mierność przystają do siebie nawzajem — na każdym objawie życia bądź społecznego, bądź duchowego. Dlatego też Tocqueville chcąc zmniejszyć owo niebezpieczeństwo, zaciecie zwalczał centralizacyę, a za najtrwalszą rękojmię wolności uważał samorząd gminy. „Ustawy gminne—mówił — są dla wolności tem, czem szkoły elementarne dla nauki: stosują się one do pojęć ludu, pozwalają mu zakosztować spokojnego używania praw i uczą, jak ma z niego korzystać."

Janet utrzymuje, iż główną wadą dzieła *Democratie en Amérique* jest okoliczność, „że pogląd autora nieustannie dzieli się między dwa przedmioty różne, które pomimo niejakiego istotnego podobieństwa nie dają się sprządz w jeden system, t. j. demokracya w Europie i demokracya w Ameryce. Pewnem jest i widocznem, że kwestya, która Tocqueville'a obchodzi i która go zawiodła do Stanów Zjednoczonych, to kwestya demokracyi europejskiej: i to właśnie nadaje jego książce siłę, powiedziałbym nawet, patetyczność, lecz zarazem sprowadza pewną niejasność. Tocqueville opisując Amerykę, myśli o Europie; stąd rysy sprzeczne, które stosować się nie mogą ani do tej, ani do tamtej części świata." Dalej ujemną stroną jest i to, że „badał tylko, jakie są, biorąc historycznie, skutki demokracyi: dobre czy złe, szczęśliwe czy nieszczęśliwe. Tego zaś, czy demokracya sama przez się jest sprawą słuszną — nie dochodził."

Paweł Janet określając umysłowość oraz zasady Tocqueville'a, zaznacza, że „do samej filozofii nie miał najmniejszego zamiłowania. Filozofia obchodziła go tylko z dwu względów: naprzód dla tego, że stanowi szlachetne ćwiczenia umysłu, powtóre, że wywiera wpływ na urządzenia polityczne. Dwa te względy natchnęły go dla metafizyki, której nie lubił, rodzajem pełnego uznania szacunku." Religię zaś rozważał przedewszystkiem w jej związkach z polityką. „Żądał od religii i kościoła, by się sprzymierzyły z wolnością, zamiast z nią walczyć." Wreszcie „oddał on polityce niezaprzeczoną przysługę, przywracając jej charakter umiejętności, który w naszym wieku zupełnie prawie zatraciła."

Czytelnik z tego streszczenia pobieżnego widzi, że książeczka Janeta jest podobną tornistrowi żołnierskiemu. Mało w nim miejsca i mało też rzeczy, bo umieszczono tylko niezbędne. *Polityka* zawiera właściwie jądro poglądów, wyłuszczonych w najważniejszem dziele Tocqueville'a i sąd o niem, kilkunastu pociągnięciami pióra naszkicowany. Za tło służy rozdział pierwszy, wyliczający stronnictwa polityczne we Francyi od 1815—1846 roku.

Czy jest więc to praca użyteczna? Dla francuza bezwarunkowo, dla nas względnie tylko. Pierwszy bowiem (mówię tutaj o człowieku wykształconym) zna dokładnie dzieje swego kraju. Przed jego oczami w chwili, gdy czyta Janeta, przesuwają się wypukłe i pełne życia obrazy: powrót Burbonów, Restauracya, ścieranie się prądów dawnych z nowymi, walki parlamentarne za Ludwika XVIII i Karola X, błędy Polignaca, ordonanse, zwycięztwo mieszczaństwa, ukoronowane oddaniem władzy w ręce Ludwika Filipa, atak stanu czwartego na trzeci i silne wrzenie społeczne, zakończone 1848 rokiem. Równocześnie staną

U autora „Uranii."

Voici mademoiselle, c'est mon Uranie — rzekł do mnie Flamarion, ukazując mi na kominku gabinetu swego piękny, bronzowy zegar, przedstawiający muzę astronomii, o glob ziemski opartą.

— Oto moja „Urania..."

Słowom tym towarzyszyło ciepłe, serdeczne wejrzenie, zwrócone ku bronzowej bogini, w której znakomity astronom „zakochał się był," mając lat siedemnaście, jak się do tego przyznaje we wstępie swego najnowszego dzieła.

— To moja pierwsza miłość — napół żartem, z pewnym jednak melancholijnym odcieniem w głosie dorzucił.

„Pierwsza i ostatnia," powiedzieć mógł śmiało.

Ten „astronom-poeta," jak go był nazwał kiedyś z pewną lekceważącą wyższością znakomity Leverrier, który dokonał sławnego odkrycia planety Neptuna, jedynie dzięki ścisłym, matematycznym wyliczeniom — ten astronom-poeta, uważający za najwyższą swą chlubę ów właśnie zarzut poezyi w nauce, mając lat czterdzieści pięć, jednakże młodzieńczą miłością ubóstwia swoją bronzową kochankę.

Dzieje niepospolitej „miłości," to dzieje życia niepospolitego człowieka.

Nadewszystko umiłowaną kochanką była mu, jest i zawsze już będzie ta piękna muza astronomii, której swe całe poświęcił życie.

Siedemnastoletniemu chłopięciu wskazała Urania posłannictwo dziejowe astronomii, czyniąc go niejako apostołem reformującej się nauki. Natchnionemi słowy przepowiedziała przyszłe, doskonalsze jej kierunki, wskazała nowe czynniki wiedzy, wskazała dotychczasowe jej braki. Kamil Flamarion pozostał wiernym swej muzie.

— Danem ci będzie — mówiła mu, prowadząc go w śnie fantastycznym po przez dalekie, niezmierzone przestrzenie światów — danem ci będzie ujrzeć w twem życiu jutrzenkę nowych dni. Astronomia matematyczna ustąpi pierwszeństwa fizycznej — prawdziwemu badaniu natury.

— Przeznaczonem ci jest być świadkiem zupełnego przeistoczenia tej umiejętności. Materya przestanie być wszystkiem — pierwiastek duchowy znajdzie swe uzasadnienie. Dusza świata zmartwychwstanie.

— Wkrótce już astronomowie, zamiast zajmować się wyłącznie obliczaniem ruchu planet i badaniem ich objętości, rozpatrywać zaczną ich warunki fizyczne, geograficzne, klimat, meteorologię — przenikną tajniki organizacyi życiowej zamieszkujących je istot. Nowe metody badań pozwolą rozpoznać budowę fizyczną, jako też skład chemiczny dalekich gwiazd. Udoskonalenie przyrządów astronomicznych pozwoli stwierdzić faktyczną egzystencyę istot planetarnych, a dalej, dalej jeszcze posiądziemy pewne sposoby wejścia z niemi w stosunki. Nie tu kres jednakże szczytnego posłannictwa astronomii. Wykazawszy, że ziemia jest tylko drobniuchną cząstką wielkiej niebieskiej ojczyzny, a człowiek obywatelem nieba, nauka pójdzie dalej. Wykrywszy plan, podług którego świat fizyczny jest zbudowany, dowiedzie, że świat moralny podlega tym samym prawom, że oba tworzą tylko jedną całość, a duch kieruje materyą. Dowiecie się wówczas, że istnieje w przestrzeni światów organizacya duchowa, nieskończenie wyższa od najdoskonalszych organizacyi ziemi, że wszystko dąży do doskonałości najwyższej i że świat materyalny, widzialny, jest tylko złudzeniem naszych niedokładnych zmysłów, że

przed nim Bonald i de Maistre, zaśpiewają Chateaubriand, Lamartine i Wiktor Hugo, zrazu rojaliści, potem wodzowie opozycyi, pojawią się Beranger z piosenkami, ostremi jak szpada, Armand Carrel, z oficera napoleońskiego dziennikarz, Lamennais, z obrońcy wróg papiestwa, ideał pamflecisty politycznego Paweł Ludwik Couvier i wielu, wielu innych. Polityka i piśmiennictwo zazębiają się wzajemnie. Na tem tle praca Janeta staje się zupełnie zrozumiałą, a więc zupełnie użyteczną.

Czy nasz czytelnik znajdzie się w tem samem położeniu? Bynajmniej! Dla niego *Polityka* jest podobną do główki, wyciętej z obrazu; ten kawałek malowidła obwieszcza nam i o talencie autora i o pięknych rysach modelu; pojęcia o całości jednak dać nie może. A przecież tylko książki o treści zaokrąglonej warto tłomaczyć z języków obcych; ulotne szkice są zasiewem bezpłodnym, gdyż podsycają dyletantyzm, i tak u nas zbyt bujny.

Tłomacz (niewymieniony na tytule) musi nie władać należycie językiem francuskim. Inaczej bowiem nie popełniłby następującego błędu: „Nie zapominajmy, że de Maistre'a oblekała sutanna (?!), kiedy de Bonald był człowiekiem oręża; to tłomaczy w części różnicę ich poglądów.“ Czytelnik mylnie wywnioskuje (jak i autor) z tego, że autor *Considérations sur la France* był księdzem. Tymczasem piastował on świeckie obowiązki ministra sardyńskiego i słynął jako dobry mąż oraz ojciec. W oryginale— domyślam się, bo go nie posiadam— stoi zapewne zwrot, że „de Maistre był człowiekiem w rewerendzie“ (la robe d'un homme de justice).“ „Ludźmi w rewerendzie, w sutannie“ nazywali francuzi w XIV—XVI wieku sądowników, prawników, a do rzędu mężów stanu, zbrojnych w prawo i przesiąkniętych prawniczemi zasadami właśnie de Maistre należał.

Adam Nowicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obecna polityka w głównej swej osnowie — to Bismark ze swymi planami, zabiegami, walkami i kaprysami. Wątpimy bardzo, czy jest na świecie publicysta, któryby zapisał jednodniową kartkę kroniki politycznej, nie wspomniawszy tego kabalistycznego nazwiska. A więc Bismark zaczyna ze swych ramion zdejmować ciężary i... godności, któremi obficie się opatrzył. Przestał być pruskim ministrem handlu— jak twierdzą dobrze języki—z własnej woli, a jak utrzymują złe — z woli cesarza. My zrobimy przypuszczenie pośrednie, w którem obie te wole się pogodzą: cesarz objawił życzenie, ażeby zakres władzy (i prac) ministeryum handlu rozszerzyć, a kanclerz uznał za stosowne to powiększone brzemię komuś innemu ustąpić. Wybrano na ten urząd niejakiego Berlepscha, który odznaczył się umiarkowaniem podczas zmów robotniczych w kopalniach węgla i któremu dodano ten dział spraw. Dla zadania kłamu wieściom o nowych „frykcyach,“ Bismark wyprawił obiad, na którym znajdował się cesarz.

Ruch wyborczy w Niemczech wszedł już w okres silnego natężenia, chociaż ze strony rządu odbywa się bez wyraźnego hasła. Ma niem być „strach czerwony,“ socyalizm (poprzednio grały tę rolę baraki francuskie i posuwanie się wojsk ruskich), skutkiem jednakże braku odpowiednich frazesów, których oczekiwano od mowy kanclerza w sejmie, prasa rządowa niema czem trwożyć i nęcić. Co Bismark powie — to się rozlega jak grzmot na całym widnokręgu Niemiec; co zaś p. Pindter wysmaży w swej głowie, to tylko swędem rozchodzi się po za jego kuchnią. Jest to wszakże widocznem, że Wilhelm II postanowił skokietować stan czwarty a nawet rozpostarł swe zamiary bardzo szeroko. W *Reichsanzeigerze* ogłoszone zostało jego pismo, wzywające kanclerza, aby wystąpił z urzędowem zapytaniem do Francyi, Anglii, Belgii i Szwajcaryi, czy rządy tych państw byłyby skłonne do zawiązania z Niemcami rokowań dla *międzynarodowego* porozumiewania się co do możliwości zadośćuczynienia tym potrzebom i życzeniom robotników, które ujawniły się w zmowach zeszłorocznych. W razie zgody zaproszonych ma być zwołana narada przedstawicieli wszystkich państw zainteresowanych w sprawie robotniczej na walną naradę. Jest to z jednej strony chęć zrobienia ustępstwa konieczności czasu, z drugiej zaś — przeciwstawienia międzynarodowym związkom robotniczym również międzynarodowych praw i hamulców.

W Sofii odkryto jakieś knowanie spiskowe, o którem dotąd niepodobna sobie wytworzyć należytego pojęcia, bo dopiero wykarczowano główne jego korzenie. Wiadomo tylko, że kierował tajemnemi przygotowaniami major Panica, podobno bardzo zdolny oficer, że wspólnikami jego było wielu wojskowych i dziennikarzów, wreszcie że szło im o wyparcie ks. Koburskiego.

W Belgradzie odbywa się naprawa i ściślejsze związywanie stosunków serbsko-czarnogórskich. Dzienniki nie chcą wierzyć, ażeby zadaniem przybyłego z Cetynii Wukowicza było tylko uśmierzenie osiedlonych w Serbii czarnogórców i zwykła wymiana grzeczności między dwoma braterskimi rządami, lecz chodzi o sprawy poważniejsze i dalej sięgające.

Niejaki Stoffl, oficer niemiecki, wydał broszurę, w której dowodzi racyi przymierza francusko-niemieckiego po dobrowolnym zwrocie Alzacyi i Lotaryngii. Prasa niemiecka karci go za ten koncept, wykazując strategiczną potrzebę oparcia granicy zachodniej o Wogezy, we francuskiej zaś *Journal des Debats* oświadcza, że nawet gdyby zabrane prowincye nie przeszły były do Niemiec, Francya nie zawarłaby żadnego sojuszu przeciw Rosyi, z którą ją łączy zgoda interesów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

VII. Samopomoc zrzeszona w kształceniu i oświacie.

Gdyby ktoś zechciał porównywać tegoczesne życie społeczne z objawami z przed lat pięćdziesięciu lub więcej, jeden znamienny fakt rzuciłby mu się przedewszystkiem w oczy. Mówimy o olbrzymim rozroście samopomocy w najrozmaitszych kierunkach — zarówno w zakresie spraw gospodarczych, jak i kształcenia. Naturalnie mamy na myśli nie działalność jednostkową, prywatną, w rodzaju chociażby tak wysławianej oszczędności, ale te dążenia, kiedy jednostka łączy swoje wysiłki z innemi dla osiągnięcia pewnego celu. Słowem, idzie nam o samopomoc zbiorową, karnie skojarzoną. Są głosy, przypisujące niektórym takim urządzeniom ogromne znaczenie społeczne; w tym razie moglibyśmy przytoczyć chociażby mowę Gide'a na międzynarodowym zjeździe stowarzyszonych spożywców. Niepodobna nam drobiazgowo oceniać tu tych nadziei; powiemy jedynie, że nie znamy większych utopistów i romanty-

---

rzeczywistość jest właściwie niewidzialną. Astronomia stanie się przedewszystkiem mistrzynią filozofii — wszelka nauka bowiem, która nie opiera się na jej zdobyczach, jest błędną. Filozofia astronomiczna przeto będzie religią wyższych umysłów. Nie koniec na tem. Ta reforma nauki niewieleby się przyczyniła do ogólnego postępu ludzkości, gdyby jej wspaniałe wyniki pozostać miały jedynie przywilejem uczonych. Czasy te miną bezpowrotnie. Trzeba będzie wziąć jasną pochodnię wiedzy do ręki, ponieść ją aż na publiczne place, aż w ciasne zaułki uliczne. Każdy, kto żyje, ma prawo do światła, każdy pragnąć go może — a pragną go zwłaszcza maluczcy tej ziemi, z dóbr tego świata wydziedziczeni. Są to właśnie ci prawdziwi myśliciele ludzkości, zdroju ożywczego pragnący, bo co do „wielkich tego świata“ — ci nawet o swem własnem ubóstwie duchowem właściwego nie mają pojęcia. Tak — światło astronomii rozejść się musi daleko, szeroko, przeniknąć w te ciemne dziś masy, oświetlić ich dusze, uszlachetnić serca. Oto zadanie tej wielkiej, wspaniałej nauki, oto jest szczytne, dziejowe posłannictwo.

Taki jest mniej więcej katechizm naukowy, owa ganiona „poezya“ znakomitego astronoma. Kamil Flamarion wytrwale dąży po raz wytkniętej drodze, a pomimo niepospolitej sławy, jaką pozyskać już zdołał, przyznaje sam, że dopiero maleńką cząstkę zamierzonej pracy dokonał.

— Tyle, tyle jest jeszcze do zrobienia, a czas tak strasznie leci — skarżył się z widoczną troską.

Zastanawiałam się nad tem, że autor „Uranii“ zbyt jest może wymagający. W pełni sił męzkich będąc, pracami swemi zdobył już sobie rozległą sławę i wielkie w świecie uznanie. Mało który ze znakomitych ludzi cieszyć się mógł za życia takimi owocami swych trudów. Dzieła jego świat cały obiegły, a świeżo wydana „Urania“ tłomaczy się jednocześnie na sześć języków europejskich. Wielbiciele jego czynią mu iście królewskie dary, czego dowodem wspaniała rezydencya wraz z obserwatoryum w Juvisy pod Paryżem. Wizyty składają mu zarówno ukoronowane głowy, jak i pierwsi tego świata uczeni.

— Co do mnie — rzekłam, wyraziwszy mu swoje w tym względzie zdanie — sądziłam, że w autorze „Uranii“ ujrzę sędziwego już starca. Widzę jednak, że pozostaje jeszcze panu wiele czasu do dalszej pracy.

— Tem bardziej, że jeżeli mam wierzyć mojej „Uranii“ — dodał wesoło — już u schyłku XIX wieku będę mógł cieszyć się początkiem odrodzenia umiłowanej przez mnie nauki, którą wiek XX na właściwe ma wprowadzić tory.

Zauważyłam, że wobec najnowszych prądów, tak wybitnie objawiających się w kierunkach wiedzy dzisiejszej, wobec tych zapowiedzi reformy „nauki przyszłości,“ będących wymownym protestem przeciwko zbyt może jednostronnemu jej pojmowaniu, przepowiednia ta bezpodstawną nie była.

— Masz pani zupełną racyę— rzekł mi— istotnie była chwila, kiedy powódź materyalizmu zdawała się wszystkiemu grozić zupełną zagładą — tymczasem duch ludzki odradza się jak Feniks z popiołów, kładąc swoje wymowne *veto*.

Rozmowa nasza, wszedłszy na tak żywotne tory, przeciągnęła się długo. Prądy chwili obecnej, przejawiające się zarówno w nauce jak i w literaturze i sztuce, pochłaniały myśl moją od pewnego już czasu — rada też byłam bardzo ze sposobności usłyszeć o tym przedmiocie zdanie takiego człowieka, jak Kamil Flamarion.

— Daruj mi pani jeszcze chwilkę—rzekł uprzejmie, kiedy ze względu na spóźnioną porę zabierałam się do odejścia. Mieszkańcy tej ziemi tak mało zajmować się zwykli tajemnicami nieba, rzeczami, które nie są z tego świata, że podobny podział myśli z panią w tej chwili jest dla ducha mojego wielką, prawdziwą satysfakcyą.

ków społecznych nad działaczy, spodziewających się usunięcia współczesnych niedomagań za pomocą książeczek oszczędności. Podobnie co do kooperatystów w rodzaju Gide'a: jakkolwiek z głębi serca życzylibyśmy im zrzeszenia ostatecznych zamiarów, nie ufamy jednakże, aby ich marzenia urzeczywistniły się wskazaną na wspomnianym zjeździe drogą. Ale samopobudka zrzeszona ma jeszcze inne znaczenie, być może daleko ważniejsze. Każdy jej objaw jest następstwem zbiorowego a dobrowolnego samorządu. Karność, której podlega oddzielny członek, została przez niego samego nałożona. Istnieje tu tylko przymus moralnej natury. Różne stowarzyszenia spożywcze, gimnastyczne, artystyczne, wzajemnej pomocy są istotnemi szkołami, kształcącemi samodzielnych i samorządnych obywateli kraju. Próby Szulców z Delitsch są nic nie warte społecznie; samopomoc wzajemna nie usunie nędzy w chorobie, ani nie zapewni starości, stowarzyszenia spożywcze nie zwiększą dobrobytu wśród mas. Wszystko to są półśrodki, albo mamidła. Atoli każde z tych urządzeń jest przewyborną gimnastyką obywatelską, kształcącą samoistność wśród uczestników. Już z tego stanowiska ciekawem jest bardzo rozpatrzenie się w rozmiarach prądu zrzeszonego. Sprawa jednak zasługuje jeszcze na uwagę z innych względów. Nowoczesne narzędzia produkcyi znamionują szczególną epokę w rozwoju ludzkości, mianowicie czynią one zrzeszenie zjawiskiem nietylko pożądanem, lecz wprost koniecznie nieodzownem. Personel każdej fabryki — to istotna armia, dyscyplinarnie urządzona, stosownie do poruszeń automatów nieżyjących, oparta na ześwidrowaniu władzy i wytworze zbiorowo-społecznym, w którym pojedynczy robotnik poszukiwałby nadaremnie namacalnego wcielenia swojej pracy. Te dążności, narzucane żywiołowo człowiekowi, odzwierciedlają się na każdym kroku, i samopomoc zrzeszoną można rozważać jako organizowanie się społeczeństwa według wzorów fabrycznych i odpowiednio do wymagań metod technicznych. Fabryka, jakeśmy to zresztą już wykazywali, występuje jako szczególny ferment, jednocześnie burzący dawne urządzenia i powołujący do życia nowe. Weźmy np. fabrykę spirytusu w Delft (Holandya), o której posiadamy szczegółowe dane. Pracuje tu wszystkiego około 250 osób. Zakład dał podnietę bezpośrednią do powstania następującym instytucyom: dwa stowarzyszenia wzajemnej pomocy, jedno na wypadek choroby, drugie dla wyzdrawiających; pierwsze liczy 253 mężczyzn, 189 kobtet i 431 dzieci; towarzystwo na wypadek śmierci (koszta pogrzebu), wyjścia za mąż, połogu; „Orfeon" (towarzystwo muzykalne) 30 osób; występuje ono na pogrzebie każdego spółtowarzysza pracy fabrycznej, podczas zabaw itd.; towarzystwo gimnastyczne, osób 48; gry w kręgle — 30, strzeleckie — 70. „Własność kolektywna" — stowarzyszenie spożywcze i budowlane. Przypuśćmy, że w danym razie mamy do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowem, dzięki silnej podniecie, wychodzącej od właściciela zakładu. Weźmy wszakże inny wypadek, gdzie pomoc wszelka zgóry ogranicza się jedynie do udzielania zasiłków pieniężnych w kwocie jakichś 8,000 franków. Są to kopalnie Blanzy, zatrudniające około 5,200 robotników. Spostrzegamy tutaj „Związek sportu," złożony z towarzystw strzeleckiego, gimnastycznego, fechtunkowego, bokserskiego, razem 200—350 osób, stosownie do pory roku; związek urządza corocznie bal, zimą zaś odczyty z historyi, geografii, ekonomii politycznej; „Związek młodzieży" — chóry i fanfary, 300—320 członków; towarzystwo dawnych wojaków — 350 członków; dramatyczno-artystyczne — 10, przyrodniczonaukowe — 20; bank ludowy, którego akcyonaryuszami są robotnicy w liczbie 300; około niego poczyna się organizować stowarzyszenie spożywcze. Ogółem 20—25% pracującej ludności w kopalniach zorganizowano w różne związki, oparte na samorządzie. Cokolwiek można było o nich powiedzieć, rzecz pewna, że jest to przewyborna szkoła obywatelska. Naturalnie nie wszędzie występuje samorząd nawet w tych rozmiarach, względnie bardzo skromnych w porównaniu z zakładem w Delft. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości, że sadowi się on około ognisk, w których ześrodkowano nowoczesne narzędzia produkcyi. Miasto (okręg fabryczny w rodzaju szląskiego lub westfalskiego jest jednem olbrzymiem a rozrzuconem miastem) zostaje w ten sposób wciąż organizowane, przyuczane do samorządu i zrzeszenia oraz karności dobrowolnej, wówczas kiedy na wsi pod wpływem fali wymiennej, wychodzącej z ognisk fabrycznych, następuje coraz silniejsze rozpadanie uczastków i zubożanie posiadłości włościańskiej, w dalszym zaś ciągu rozwój ducha indywidualnego, zamkniętego w ciasnych widnokręgach odosobnionego drobnego gospodarowania. Wreszcie z badań nad tegoczesną zrzeszoną samopomocą można wyciągnąć jeszcze jedną korzyść. Otóż te grupy przedstawiają w zarodku szczególny ustrój demokratyczno-polityczny, odmienny od utopij, które lęgną się w głowach demokratów, zapatrzonych w szwajcarskie almendy i inne formy polityczne, wyrosłe na indywidualnych narzędziach pracy.... Rozpatrywanie samopomocy zrzeszonej rozpoczniemy od instytucyj samozabawy i samokształcenia. Naturalnie, przedewszystkiem warto byłoby wyznaczyć, jak liczne mi są one w społeczeństwie. Jakaż bowiem korzyść, jeśli najpiękniejszy nawet zamiar, wcielony w życie, objął zaledwie kilka osób? Jesteśmy właśnie w tem szczęśliwem położeniu, że możemy przedstawić dość dokładny obraz wszystkiego, co uczyniono w tej mierze w Belgii, dzięki odpowiedniemu dziełku Ernesta Gilona *). Zauważymy, że nagromadzone fakty tyczą się jedynie warstwy miejsko-robotniczej.

Kółka dla zabawy i kształcenia istnieją w Belgii pod najrozmaitszemi postaciami. Największa część nosi jaskrawo odciśnięte znamię partyjne. Tu należą nader liczne towarzystwa katolickie, niezwiązane wprawdzie widomie w jedną organizacyę, lecz tem niemniej kierowane przez tę samą rękę ku pewnym celom. Nietylko istnieje kilka kółek takich w każdem znaczniejszem mieście, lecz niema tak ustronnej okolicy, dokąd one nie wdarłyby się, szczepione przez proboszcza lub zakonnice. Powstawanie odbywa się wszędzie według tego samego szablonu. Jakiś zamożny a dbały o wiarę katolik buduje domek i otacza go ogródkiem lub wynajmuje lokal. Kapłani okoliczni, przemysłowcy, kobiety zaczynają wtedy rozwijać gorącą działalność, odwiedzają robotników i kramikarzy, wciągając ich do kółka. Towarzystwo np. S. Zbawiciela w Gandawie składa się z kilku kółek: chóru, karcianego, bilardzistów, kręglarskiego i in. Urządza ono odczyty, zabawy, koncerty. W pewne dni wszyscy uroczyście przyjmują komunię; w maju, z własnym sztandarem odbywają świętą pielgrzymkę. W gruncie rzeczy jest to organizacya polityczna ultramontanów, mająca na celu przyciągnięcie warstwy robotniczej. W walce też z nią znajdują się wolnomyślne kółka robotnicze, bardzo liczne, a zwykle przesiąknięte ideami kolektywizmu. Mamy wśród tego odłamu silną organizacyę „Vooruitystów" (postępowców). Powołała ona do życia liczne kooperacyjne piekarnie i stowarzyszenia spożywcze, około których skupia się zabawa i kształcenie. Grupa gandawska urządziła wspaniałą czytelnię z obfitą biblioteką w duchu poglądów kolektywnych, założyła liczne kółka samokształcenia i zabawy (zwłaszcza muzykalne), wydaje dwa czasopisma. Przy organizacyi istnieją wszędzie szczególne grupy młodzieży („les jeunes gardes socialistes") z własnymi lokalami dla kształcenia się i czytania, urządzające koncerty, przedstawienia muzykalno-dramatyczne, meetingi itd. Po za tymi dwoma prądami natury partyjno-politycznej, istnieją w głównych miastach kraju stowarzyszenia, mające na celu jedynie zabawę lub kształcenie, a znane pod nazwą *Od dobrego ku lepszemu*. Członkowie w niedzielę gromadzą się w lokalu na kilka godzin; kasyer obchodzi wszystkich, zbierając drobne sumki do kasy oszczędności, inny do „podróżniczej" (znaczenie tej ostatniej poznamy niebawem). Odbywają się śpiewy chóralne, muzyka, gry, zabawy, ćwiczenia gimnastyczne. Są to drobne a niezwiązane kółka. Po za tem mamy już do czynienia z większemi organizacyami. W Liége istnieje „towarzystwo Franklina" z licznemi filiami w okolicy; w Verviers „koło wieczorków ludowych" z 19 filiami i pokrewną grupą w Mons, która znowu dokoła siebie zgromadziła do 20 oddziałów. Kilka podobnych organizacyj znajduje się w Brukselli. Każda taka grupa i filia posiada własny lokal,

*) *Cercles ouvriers* (*Récréations et jeux*). Sprawozdanie urzędowe 1889. Bruksella.

Przeszliśmy do biblioteki. Duży, narożny, o trzech oknach pokój, opatrzony z zewnątrz długim, przez całe mieszkanie piątego piętra ciągnącym się balkonem, ze wspaniałym widokiem na obserwatoryum i jego szerokie aleje, był odpowiedniem miejscem do pracy dla człowieka, który swe oczy z taką miłością zawieszał na niebie.

— Przedstawię pani moich pieszczochów — rzekł, wskazując niewielką szafkę biblioteczną, pełną starannie ułożonych i pięknie oprawnych książek. To są przekłady dzieł moich na obce języki — dodał — wyjmując książkę po książce, pokazując mi je kolejno, z iście ojcowską tkliwością.

— To moja największa pociecha — dodał z odcieniem zadowolenia w głosie.

— A przekłady polskie?

Podał mi jeden skromny, niepozorny tomik „Wielość światów zamieszkałych," ongi nakładem Ungra wydany.

— I to wszystko? Literaturze naszej przyswojono i inne dzieła pańskie, każda z bibliotek posiada ich kilka.

— Ja tylko to jedno otrzymałem — niestety. Wyznam pani jednak, że byłoby to dla mnie wielką przyjemnością, gdybym mógł mieć u siebie wszystkie przekłady polskie dzieł moich.

„U nas inaczej" — pomyślałam ze smutkiem — nietylko że nie pytamy o pozwolenie autora, przysywająjąc sobie jego praca, ale nawet nie poczuwamy się w takim razie do żadnych względem niego obowiązków.

— Co do „Uranii," liczę na grzeczność pani — rzekł mi uprzejmie — jest to moja ulubiona praca, to też szczerze się cieszę, że pani ją właśnie przekładać będziesz. Jestem pewny, że „Urania" moja na tem nie stracono — dodał z galanteryą.

Nie omieszkałam zapewnić Kamila Flamariona, że nietylko „Uranię," co się rozumie samo przez się, ale i resztę wydanych u nas dzieł jego prześlę mu niezwłocznie po powrocie moim do kraju.

— Będę pani bardzo, bardzo obowiązany za to — rzekł, wyciągając ku mnie obie ręce. Jest w tem, być może, pewna autorska słabostka, lecz z drugiej strony to taka wielka pociecha, taka wtelka zachęta do pracy te przekłady na obce języki, że mimowoli duch nasz się tem pieści.

— A nie zapomnij pani o naszej wycieczce do Juvisy — dodał mi przy pożegnaniu z całą właściwą sobie uprzejmością — rad będę bardzo sprzentować ci moje obserwatoryum.

Paryż, w styczniu.

Marya Cz. Przewóska.

gdzie co niedzielę wieczorem daje publiczności zupełnie obcej koncerty w połączeniu z odczytem; przy końcu urządza tombolę, wygrywający otrzymuje odpowiednie dziełko pisarzów klasycznych; czasami na jednem zebraniu sprzedaje się do 8,000 biletów po 5—10 centymów (2—4 kop.) i wsuwa publice doborowych książek za kilkaset rubli. Wiele z nich wydaje własny organ, książki i kalendarze, urządza wycieczki naukowe i zabawy dla miejscowej dziatwy szkolnej, rozciąga swoją działalność do najdalej rzuconych od miasta zakątków, gdzie powołuje do życia komitety miejscowe, zakłada biblioteki itd. Z temi organizacyami łączy się instytucya tak zwanych „kas podróżniczych.“ Wychodzą one z założenia, że podróżowanie jest jednym z najbardziej kształcących środków; umysł widzi nowe stosunki, pozbywa się zapleśniałej rutyny, przesądów względem innych ludzi i t. d. Właśnie kasy podróżnicze dążą do umożliwienia tego. Zarząd zachęca każdego do składek w tym celu; kiedy zbierze się odpowiednia suma, a nadto zgłosi się stosowna liczba kandydatów, gromada cała jedzie pod kierunkiem jednego, obeznanego z miejscowością. Czasami podróżuje jedna lub dwie setki mężczyzn, kobiet, młodzieży, nawet dzieci. Zarząd nadto wydaje szczególny przewodnik, w którym uwzględnione są strony historyczna, artystyczna i przemysłowa okolicy. Jest to wycieczka w najwyższym stopniu kształcąca, a opierająca się czasami aż o Londyn, Wenecyę, nawet Rzym i Neapol. Robotnik za tanie pieniądze ma możność poznania dalekich miejscowości. Około 8 większych organizacyj w rodzaju powyżej rozpatrywanych zajęło się urządzeniem takich kas podróżniczych. Z innych grup samokształcenia należałoby wymienić jeszcze towarzystwo oświaty ludowej w Mortanwelz. Członków posiada ono 1,600, w tej liczbie robotnicy fabryczni składają dwie trzecie, miewa odczyty stałe, koncerty i tombole książkowe, dziennik tygodniowy, wycieczki naukowe, 8 bibliotek ludowych. Żywotność stowarzyszenia tak znaczna, że w ciągu zimy urządza 35—40 zabaw najrozmaitszego rodzaju.

Musimy pominąć inne wyjawy: gdyż zabrałoby to za wiele miejsca. Wspomnimy jedynie o licznych stowarzyszeniach w celu zakładania czytelni ludowych i bibliotek oraz o tak zwanych związkach szkolnych. Starzy koledzy ze szkółki po wyjściu wiążą się w kółka dla zabawy i kształcenia; często dochodzą do ogromnych funduszów, posiadają własne lokale, ogrody, biblioteki, urządzają odczyty, tombole książkowe, kasy podróżnicze. Własność towarzystwa jest stałą; nowi wychowańcy tej samej szkoły dalej podtrzymują odpowiednie kółko.

Natomiast dłużej zatrzymamy się nad instytucyami czystej zabawy lub ćwiczenia fizycznego, przyczem wykluczymy liczne towarzystwa cyklistów i wioślarskie, jako składające się jedynie z warstw pozarobotniczych. Tutaj przedewszystkiem należą różne kółka muzykalno-śpiewackie, istniejące niemal w każdej mieścinie, dosięgające dwu tysięcy mieszkańców. W większych miastach znajduje się ich po kilkanaście. Często bywają urządzane zbiorowe współzawodnictwa, wycieczki i zabawy i wtedy przez ulice ciągnie się niekiedy dość długa procesya kółek, każde z własnym sztandarem. Już w r. 1880 naliczono towarzystw muzykalnych do 2,000, a dla ich wyliczenia trzeba było wydać książkę w ósemce o 962 stronicach... Z muzyką i śpiewem często są połączone amatorskie przedstawienia dramatyczne. Jeszcze większy rozwój, przynajmniej w kierunku solidarności i zjednoczenia osiągnęły kółka gimnastyczne. Z początkiem 1889 r. istniało w Belgii 71 towarzystw gimnastycznych, złączonych w jedną organizacyę: Federacyę belgijską i nadto 14 grup po za zjednoczeniem. Federacya liczyła 3,300 członków czynnych, 62 kobiet, 1,347 malców i 156 dziewcząt. W tej liczbie na warstwy pracujące przypada około 25%. Hasła związku głoszą harmonijny rozwój organizmu ludzkiego. Wydaje on i rozszerza broszury w sprawie gimnastyki, posiada 4 specyalne czasopisma, prowadzi poszukiwania w zakresie odpowiednich zagadnień. Oddzielne kółka urządzają zjazdy prowincyonalne; od r. 1865 odbyło się ich do 2,000. Nadto od czasu do czasu zwoływane są zjazdy ogólno-belgijskie, gdzie po za ćwiczeniami i uroczystościami bywają poruszane zagadnienia natury teoretycznej, np. odnoszące się do gimnastyki szkolnej i kobiecej, terminologii itd. Każde kółko zwykle posiada własny lokal z wszystkimi przyborami i zupełny samorząd w swych sprawach wewnętrznych. Składka roczna za użytkowanie lokalu, przyrządów itd. wynosi nie więcej nad 6 franków (nieco więcej nad 2 ruble).

Gdyśmy już poruszyli o sprawy belgijskie, nie od rzeczy będzie zatrzymać się nad bibliotekami ludowemi, powołanemi do życia przez zarządy gminne. Bibliotek znajduje się 446 w 442 gminach (gmin jest wszystkiego 2,595). Warto zaznaczyć zależność tego rodzaju urządzeń odześrodkowania ludności. Z pośród 21 gmin, posiadających ludność wyższą nad 25,000, wszystkie posiadały bibliotekę, niektóre zaś po kilka; z 170 gmin, gdzie ludność waha się w granicach powyżej 5,000 głów, jedynie 332 miały bibliotekę. Liczba tomów wynosiła przeszło $1\frac{1}{5}$ miliona, w czytaniu zaś było w ciągu roku około miliona. Z książek korzystało około 120 tysięcy osób. Cyfry te są pokaźne, jeśli zważymy, że obejmują prawie wyłącznie ludność miejską. A jednakże pomimo to jaka ciemnota panuje jeszcze w Belgii! Poddano tu dla próby pewną liczbę żołnierzy egzaminowi, przytem należy zauważyć, że każdy z egzaminowanych był przez lat kilka w szkółce elementarnej. Oto kilka z zadanych pytań i zarazem udzielonych odpowiedzi. „Jakie są najgłówniejsze 4 miasta kraju oraz największe rzeki?“ 38% nie dało na to żadnej odpowiedzi, 44% tylko częściową. „Kto w kraju stanowi prawa?“ 15% udzieliło należytą odpowiedź, 50% nie dało żadnej, reszta błędną, mówiąc, że prawa daje król, to znowu królowa, ministrowie, senat. „Kazano wymienić najznakomitszego belgijczyka.“ 67% przytoczyło różne cudzoziemskie znakomitości, 20% zaś podało Leopolda I lub II... A jednakże, jeśli takie odpowiedzi daje żołnierz, który już otarł się o ludzi, cóż tedy dziać się musi w odludnych zakątkach kraju? W ten sposób wszystkie powyżej wymienione urządzenia są jedynie siecią zarzuconą w górze i wyciągającą tylko nieliczne okazy. W głębi tkwi ciemnota, nędza i niezaradność. I zresztą nie może być inaczej, gdzie człowiek musi pracować w najgorszych warunkach, w odosobnieniu od ognisk życia cywilizacyjnego i źródeł wiedzy. Samorząd w kształceniu i zabawie jest tylko udziałem robotnika miejskiego i to zwłaszcza w zawodach uprzywilejowanych... Społeczeństwo w ten sposób zostaje rozpołowione nietylko na bogaczów i biedaków, lecz jednocześnie na żywioły czynne społecznie a bierne, na miasto fabryczne a rolną prowincyę.

K. R. Żywicki.

LISTY PETERSBURSKIE.

30 stycznia.

Tragiczna śmierć Dynowskiego. — Zjazd techniczno-wychowawczy. — Zjazd przyrodników. — Teorye o końcu ziemi. — Sprawa kalendarza.

Śmierć fatalistyczna, wypadkowa, pełna grozy, porwała jednego z wybitniejszych członków naszego społeczeństwa — adwokata Dynowskiego. W sobotę śpieszący do Moskwy oczekiwał go na dworcu kolei Warszawskiej — naprożno. Rozeszła się wieść, że w drodze jeden z wagonów spłonął, a w nim jakiś podróżny. Brat oczekiwanego udał się wnet na stacyę Pondery. Zrazu nie mógł rozpoznać zwęglonej postaci, lecz gdy zebrał wskazówki, wątpliwości ani na słabą nadzieję nie pozostało. Powieść krótka: spadła lampa, płonąca nafta w jednej chwili zajęła płomieniem cały wagon. Kilku podróżnych z zapalonymi włosami wyskoczyło do przyległego wagonu, jeden uciekł przez okno, D. zaś pozostał w oddziale, nie zdążywszy szukać ratunku. Ludzi głębokich przekonań i szerokiego umysłu mało posiadamy, więc podobna strata jest bardzo dotkliwa.

Gdybym nie miał innych powodów do znienawidzenia 1889 roku, nie lubiłbym go za to, że porwał nam dzielnych braci Smolków; ale i 1890 już mię niełatwo nawróci... Jeżeli nawet zechce uśmiechnąć się, w owym uśmiechu dostrzegę połyski płomienia i zczerniałą postać człowieka. *Prawda* również niema prawa być obojętną, straciła bowiem współczującego czytelnika. W popsusze poważnych poglądów — i to coś znaczy.

Nie zawsze przyjemnie być kronikarzem. Zaznaczyłeś pewien fakt i już nikt cię nie pyta, czy cię boli serce, lub nie — spiesz dalej. Opowiadaj nam inne zjawiska, a opowiadaj tak, byśmy czytali i nie nudzili się. Na arenie publicystyki, jak na arenie teatru i cyrku, zdarzają się nieraz smutne rzeczy. Przebaczcie tedy czytelnicy objawy zgryźliwości i znerwowania a czasem przesady w polemice, lub w sądzeniu pewnych zjawisk: chleb publicysty czarny i marny, szczególnie u nas. Nieczułym być niepodobna — wnet usunięcie się... Trzeba czuć — i czuć jak matka nad dzieckiem, czuć każde fałszywe drgnienie organizmu społecznego, cieszyć się waszym uśmiechem, płakać waszemi łzami i wówczas gdy żółć rozleje się i zatruje łono, powiecie: jednak to publicysta z talentem... Nie życzcie waszym dzieciom owych talentów!

Zjazd techniczno-wychowawczy urządził w „Solanom horodkie“ wystawę prac swych uczniów. Jużci żadnych cudów nie mamy prawa wymagać od roboty dzisiejszej, lecz są nader piękne. Przedewszystkiem uderza oko wielka ilość rysunków — tak też być powinno. Jeżeli np. widzimy zupełnie wykończone przedmioty z dziedziny stolarstwa, ślusarstwa, a nawet rzeźby, bezwątpienia zawdzięczamy to tylko artystycznemu rozwojowi pachołąt. Wielka szkoda, że na rysunkach szkoły łódzkiej podpisy uczniów przeważnie brzmią po niemiecku. Na okazach wileńskiej szkoły rysunków odszukałem jedno nazwisko, na szczęście słowiańskie, a nawet podobno polskie, którego nie wymieniam, ażeby nie wzbić uczenicy w dumę; lecz prosiłbym szanownych nauczycieli, by zwrócili uwagę na wybitny talent i korzystając z dozwolonego kobietom wstępu do Akademii sztuk pięknych — ułatwili jej drogę.

VIII-my zjazd przyrodników był zjawiskiem wielce pocieszającem — ileż to nowych rzeczy człowiek się dowiedział! Podzielić się tem wszystkiem z czytelnikami niepodobna, dla wielu przyczyn, a przynajmniej nim wyjdzie księga, w której wszystkie prace będą wydrukowane.

Nowoje Wremia np. w jednym z numerów dało sprawozdanie o nowej teoryi elektryczności, o eterze — i cóż? Sprawozdawca pochwycił w lot teoryę, nie zgłębił... rzucił na papier cały zasób zgmatwanych pojęć i nie przyniósł żadnej korzyści; owszem zrodził w czytelniku przekonanie, że przeciętnej głowie niepodobna tego zrozumieć. Tymczasem jest to niesłuszne: jeśli ktoś mówi o czemś niezrozumiale, dowodzi tylko, że sam niejasno widzi przedmiot.

Zaznaczę nową teoryę śmierci naszej planety. Dotychczas, jak wiadomo, mieliśmy takie hypotezy: 1) że ziemia powoli zastygnie, zlodowacieje i wszystko na niej

umrze; 2) że skoro siła wulkaniczna działać przestanie, woda zmyje góry i pagórki, zamuli rzeki i morza, poczem cała ziemia okryje się czterostopową warstwą wody; 3) że nasza planeta upadnie na słońce, bowiem podług obliczeń, dziś ziemia jest bliżej słońca, niż była w starożytnych, już pamiętnych czasach; 4) że czeka ją dola astroidów: starcie się z jakiemś ciałem niebieskiem i rozbicie się na szczęty. Od nagłej i niespodziewanej śmierci — zachowaj nas Panie!

Owoż nowsza taorya nie uznaje żadnego z owych zgonów. Trzeba wiedzieć, że co do przestrzeni, zaszła w poglądach zmiana; dawniej twierdzono, że za warstwą powietrza rozciąga się próżnia, teraz zaś napełniają całą przestrzeń eterem, którego właściwości zresztą nie zbadano jeszcze. Otóż rodzi się przypuszczenie, że rozrzedzone powietrze w warstwach dalekich od ziemi umie odrywać się od niej i roztapiać się w owym eterze, tj. że przestrzeń okrada nas z powietrza. Dalej, wielkie grzbiety gór, jak Kordyliery, Himalaje powstały niekoniecznie drogą wulkanizmu, lecz z przyczyn odmiennej natury: ziemia kiedyś była większą; stygnąc, jęła się kurczyć, a więc oblicze jej zbruździło się — stąd też są długie pasy zmarszczek.

Z innej strony zauważono, że brzegi morza przyrastają, czyli że wody potrosze ubywa. Jużci ona nie wysycha, lecz... czyż nie może wsiąkać do wnętrza ziemi, coraz głębiej i głębiej, aż na powierzchni nie pozostanie ani kropli? Wiemy np., że ziemia nagle zapada i tam, gdzie był las, tworzy się jezioro. Bezwątpienia tak się utworzyło bezdenne Święte Jezioro jakutów: Baj-kał. Lecz nie zawsze może być tak szczęśliwy wypadek; warstwa gruntu nad morzem podziemnem gruba i mocna może też nie zapaść, a więc pozostaniemy bez wody.

I oto przyroda doczeka chwili, gdy według słów profesora geologii Inostrancewa, ziemia stanie się tem, czem jest obecnie księżyc, „owa planeta według astronomów wiecznie młoda, a według geologów—stara, zastygła, bez ognia, wody, powietrza," a bezwątpienia—i elektryczności... Piękna perspektywa! Ciekawa rzecz, co wówczas stanie się z ideą wyrzucania sąsiadów za granice państwa. Wyobraźmy sobie całą ziemię pustą, ogołoconą ze wszystkiego. Bezwzględna śmierć, wieczna cisza, na najwyższym zaś szczycie staruszki ziemi, na granitowej podstawie, pruski orzeł rozpościera skrzydła — to pomnik Bismarka! Czyż nie wspaniałe?

A co, szanowni romantycy — czym nie wart za ten obraz choćby malutkiego wianuszka? Wieńczcie nas zasłużonych, póki czas, póki rosną laury i dęby. Potem, gdybyście nawet zechcieli, nie będzie czem — spieszcie się, zaledwie parę milionów lat pozostało do przypuszczalnej śmierci naszej planety. Zresztą, niepotrzebnie ostrzegam— i bez tego nie załujemy sobie owej przyjemności.

Skoro już wznieśliśmy się do niebieskich sfer, pogwarzmy trochę i o kalendarzu. Tutejsze gazety twierdzą, jakoby w tak zwanej *eparchii* chełmskiej miał być wprowadzony kalendarz Juliański. Bezwątpienia sprowadzić święta i uroczyste dni do jednego mianownika, jest rzeczą mądrą, lecz wartoby przytem zapomnieć o Juliuszu i Grzegorzu, a poradzić się astronomii; oni zaś dowodzi, że oba te kalendarze mają usterki — w gregoryańskim, jako nowszym, trochę ich mniej, lecz są także. Posłuchajmy, co mówią astronomowie.

Naprzód trzeba wiedzieć, że oni mają swój kalendarz i licząc czas nie według słońca, lecz według gwiazd stałych. choćby dla tego, że doba słoneczna jest nierówną. Różnica wynosi mniej więcej do 16 minut. Doby społeczne bywają nie rzeczywiste, lecz tak zwane *średnie*, tylko cztery razy do roku: 15 kwietnia, 14 czerwca, 31 sierpnia i 24 grudnia średnia doba i słoneczna zlewają się. Ludzie niewtajemniczeni ani się domyślają, że są doby krótsze, są dłuższe i że różnica między niemi bywa o całe pół godziny. Przyczyna jest dwojaka: pierwsza— mówmy zwykłym językiem, tj. jak wydaje się ziemskiemu obywatelowi — że słońce dąży nie w płaszczyźnie ekliptyki i druga, że gdy jest bliżej ziemi, przechodzi swą drogę prędzej.

W praktyce zastosować kalendarza gwiazd prawie niepodobna, tembardziej, że gwiazdy zodyaka, dzięki pewnemu ruchowi osi ziemskiej, też posuwają się. Jeżeli w czasie przesilenia dnia z nocą zauważymy przy wschodzie słońca pewną konstelacyę gwiazd, po pewnym wieloletnim czasie ujrzymy już inną i dopiero po 25,000 latach powróci na swe miejsce; tak 4,000 lat temu polarną gwiazdą była alfa Smoka, teraz zaś alfa Małej niedźwiedzicy, a po 12,000 latach będzie alfa Liry. Homer pisze, że Wielka niedźwiedzica nigdy się nie zapada w morze, a teraz dla Grecyi ona już na krótki czas zachodzi. A owe sławne Psy (wielki i mały), co ostrzegały Egipt o wylewie Nilu, teraz okazują się po wylewie. Wogóle kalendarz gwiazd, chociaż stały, dobry jest tylko dla nauki; przeto dla życia społecznego używano zwykle księżycowego, lub słonecznego. Jakie ma zalety i wady rok księżycowy, dla skrócenia artykułu nie będziemy roztrząsali; zwróćmy się do zwykłego kalendarza — słonecznego.

Gdy ziemia obiegnie całą swą drogę od jednego do drugiego przesilenia dnia z nocą, okaże się, że jeśli przeszłego roku w owej chwili (np. w Warszawie) była północ, w tym roku już nie będzie północ, lecz 5 g. 48 m. 48 s. zrana. Czyli trzebaby zaczynać rok już nie od 12 godziny, lecz prawie od 6; zaś na przyszły rok od 11 g. 37 m. 36 s. itd. Bezwątpienia takie zmiany w rachubie są nader niedogodne, owóż rozmaitymi sposobami starano się temu zapobiedz. W Egipcie np. zaczynano rachować od wiosny i liczono, że rok słoneczny ma 365¼ doby, dla społecznego zaś przyjęto 365 dni; takim sposobem w sto lat podążano naprzód na 25 dni, a w 1450 lat, rok społeczny i wiosna znowu zaczynały się jednocześnie — i taki okres nazywano — wielkim rokiem. U rzymian w tym względzie panował zupełny chaos. Juliusz Cezar poruczył Sozygenowi (w Aleksandryi) urządzić kalendarz. Natenczas postanowiono zaczynać rok od jesiennego przesilenia dnia z nocą, a co cztery lata dokładać jeden dzień, mianowicie wtedy, gdy liczba lat dzieli się na 4.

W 325 r. sobór nicejski przyjął ów kalendarz, a postanowił dokładać dzień w lutym. Omyłką było to, że w rzeczywistości rok ma nie 365¼ dni, lecz, jak wskazaliśmy, trochę mniej; tym sposobem, co rok opóźniano się o 11 m. 12 s. W 1582 r. okazało się opóźnienie na 10 dni. Papież Grzegorz—5-ty dzień października nazwał 15-ym i zważywszy, że (400 $\times$ 11 m., 12 s.) = 3. d. 2 g. 40 m., to jest około trzech dni, orzekł, że w lata przestępne, kończące się dwoma zerami, skoro setki nie dzielą się na 4, nie dokładać dnia. Np. 1600 rok jest przestępnym, a to 1,700, 1800, 1900 nie i dopiero 2,000 znowu jest przestępnym. Jednak kalendarz Gregoryański nie przyjął w rachubę 2 g. 40 m. Zauważmy, że w 3,600 lat, one będą stanowiły 24 godziny i że jeden rok z tych, co podług zasady nie jest nazwany przestępnym — powinien być nim; w tem tkwi omyłka kalendarza Gregoryańskiego. Pan Filipow w gazecie *Dień* radzi trzymać się kalendarza Juliańskiego, jużci z odpowiednią poprawką; wiemy, że ów kalendarz co rok opóźnia się o 11 m. 12 s. czyli na 0,18666... godzin; podług tego co 128 lat jeden rok przestępny trzebaby uczynić zwykłym — i wszystko wracałoby do porządku.

W pierwszej i drugiej rachubie nie przyjęłam na uwagę drobnych cząstek, które w kilkanaście tysięcy lat uczynią jedną dobę. Wogóle dwa ruchy ziemi nie mają liczby wspólnej i chcąc trzymać się przesilenia dnia z nocą, trzeba poruczyć urządzenie kalendarza nie kapłanom lub administratorom, lecz astronomom. Tak będzie i zgodniej z rzeczywistością i święta na całej chrześciańskiej ziemi staną się jednoczesnemi.

Dziękuję szanownej redakcyi *Kraju* i za wyrazy wdzięczności i za perorę. Muszę jednak uczynić maluczkie sprostowanie. Naprzód: narady zarządu Towarzystwa dobroczynności nie są rzeczą prywatną i odbywają się nie w przedpokoju. Powtórę: co do historyi przytoczę panu H. Sz.—przykład. Inny jest pogląd rolnika na ziarno, a inny przekupnia. Gospodarz, rzucając ziarno do roli, ma prawo łudzić się jutrem, a ponieważ nadzieje częstokroć zawodzą, więc szuka przyczyn... W jednej ze starych wiejskich kronik, u pewnego obywatela, czytałem takie wyrazy: „Parobczak Jan chory, więc żyto w tym roku zasiewa Piotr; trwoży mię ta okoliczność — nie wiadomo, czy szczęśliwą ma rękę."

Możnaby pożartować nad tą *szczęśliwą ręką*, a jednak jest w tem głęboka słuszność. Kto sieje z wiarą, nadzieją i miłością, ten sieje starannie, więc użytecznie. Kto zaś sieje jako najmita, lub pyszałek, by wszyscy widzieli jak mu gospodarz ufa— ten źle sieje. I to się odnosi nietylko do siewców ziarna, lecz i do siewców słowa, oraz dobroczynnych trudów— wszędzie widzimy toż samo: inne plony bywają od siewu parobczaka Jana, inne od siewu Piotra.

Wracając do przekupnia, widzimy, że on także ma styczność z ziarnem, lecz miłości dla swojskiego gruntu, trosk o tem czy *szczęśliwa* siewcy *ręka* — trudno od niego wymagać. Każdemu swoje: owemu złudne nadzieje, a owemu gotowe zyski. Niech się tedy przemysłowiec przynajmniej nie przechwala, że od niego zależy dobrobyt kraju i prostodusznemu siewcy niech nie wymyśla za Piotra i Jana, albowiem jest to nader... co najmniej niedowcipne.

N. B.

LISTY KRAKOWSKIE.

Z uniwersytetu.

Korespodenci niektórych pism zagranicznych wysyłali tak przerażające telegramy o zajściach w uniwersytecie, że czuję się w obowiązku co rychlej sprawę tę wyświecić; polując na *sensacyę*, ustrzelili, ale nie grubego zwierza.

Ponieważ z zajść ostatnich dni zrobiono kwestyę bardzo doniosłą, pomijam zatem obfite wydarzenia z innego zakresu.

Od dawien dawna czyniono młodzieży zarzuty a profesorom wszechnicy wyrzuty; jej za działanie, im za brak jakiegokolwiek działania; utyskiwano na brak spójni między uczniami a ich przewodnikami. Spójni tej rzeczywiście nie było a próby, jakie przedsiębrano w tym kierunku, nietylko że nie udawały się, ale w następstwie sprowadzały niezadowolenia, kwestye sporne, które zacząwszy się w „Czytelni akademickiej," kończyły się w trybunale wiedeńskim. Czy to był brak zaufania do kuratorów, czy profesorowie brali się do rzeczy za zimno, bez znajomości usposobień młodzieńczych, dosyć, że to, co miało być zespoloną, pięknie zaokrągloną całością, zostało nadal w swych odrębnych cząstkach. Studenci sami rozdrobili się na stowarzyszenia i stronnictwa, a miejsce kuratora zajęła policya.

Z chwilą kiedy ogłoszono wybór nowego rektora w osobie prof. Korczyńskiego, zabłysła nadzieja pięknego roku dla wszechnicy; każdy czuł, że na czele senatu stanął człowiek wielkiej siły, nieograniczonego poświęcenia, świadomy potrzeb uniwersytetu i kraju. Nie widziano już owych trudności

w zawiązaniu spójni z młodzieżą, bo ta przy każdej sposobności okazywała mu gorące przywiązanie i wdzięczność za to, że dla jej dobra umiał wiele poświęcić. Był popularny, bo nietylko uczył, ale i wychowywał, bo wpajał w młode serca miłość do ziemi i mowy rodzinnej, kładł rękę na wieśniaka i mówił do uczniów: kochajcie go, a wnikając w potrzeby, oświecajcie. A kiedy wśród tej gromady znalazła się natura surowa, zimna, czy obojętna, to póty gniótł w ręku oporny materyał, aż się stał woskiem, tak długo pobudzał, aż zagrzał, więc gdy pochwalał pracowitych, lekkomyślnych karcił. I widzieli uczniowie, jak pod jego kierunkiem i wpływem rozszerzał się zakres ich przyszłej działalności, uwierzyli, że wiedza da im nietylko chleb, ale szczęście, wartość i posłannictwo — rozmiłowali się w życiu człowieka.

Więc skądże wzięły się owe niepokoje i obrażające demonstracye, gdzie się podziały nagle owe wdzięczne serca wychowańców? Czyż to nie dziwne?

Istotnie bardzo dziwne, ale niechaj na pytanie odpowiedzą czyny.

Co przewidywano stało się: rektor zbliżył się teraz do ogółu młodzieży, siadywał z nią przy jednym stole, przy wspólnej wieczerzy, w nowy stosunek wprowadził odrazu nastrój serdeczny i zdawało się, że to wiecznie rozlatujące się ogniwo wspólnego łańcucha ręka mistrza skuła na zawsze. Wszystkie dzienniki drukowały jego mowy, zaznaczając ogólny poklask, jakim je darzono.

A jednak zmącono harmonię; *Ognisko* organ nie młodzieży, ale kilku ludzi pchanych czy cudzą ręką, czy niezadowoleniem życiowem, czy trapionych nieuleczoną chorobą, wydawało numer po numerze lichy formą, a banalny treścią, gdzie jaskrawo zaznaczając swą niechęć dla szlachetnych dążeń, mroziło radość młodzieży. Większość wyparła się *Ogniska*, zdawało się, że pismo musi upaść, tymczasem ukazywało się — tylko coraz gorsze i coraz przewrotniejsze. Konfiskata dodawała uroku.

Wiała założenia rzeczywistego organu młodzieży przyjęła się; uważano to za najpewniejszy środek obrony i niejako oczyszczenia się przed społeczeństwem, i tak powstał *Przegląd akademicki* a chociaż pierwszy numer przedstawia się słabo, bo podobno zredagowany na prędce, jest przecież widomym znakiem sprzeciwu.

Tymczasem w senacie toczyła się sprawa, która dnia 25 stycznia zakończyła się jednomyślnym wyrokiem, wykluczającym z uniwersytetu na cztery półrocza trzech studentów (zprawa i filozofii a równocześnie redaktorów *Ogniska*) za „rozmyślne podburzanie młodzieży przeciw senatowi akademickiemu, za umieszczanie w *Ognisku* artykułów, przez których osnowę, formę i ton powadze profesorów uniwersytetu i godności senatu ubliżyli, a wreszcie, że w piśmie przez nich redagowanem umieszczali artykuły popierające jaskrowo walkę klas społecznych, z zamiarem szerzenia tego kierunku między młodzieżą uniwersytecką.“

Zrobił się ruch, ale że był bardzo mały, więc przyjaciele wykluczonych zaczęli przemawiać do kolegów w imię tego i owego, uderzono w słabą stronę akademika i pod godłem solidarności gromadzono sprzymierzeńców. A skoro już zrobiła się ruchawka, więc dla niej samej, bez względu na cel, śpieszyli ci, którzy, dopiero co zwolnieni z karności gimnazyalnej, radziby dać folgę swobodzie.

Otworzono listę składek na stypendya dla wykluczonych, odwołując się do szerokiego pojęcia koleżeństwa, a chociaż zdawało się, że sprawa to odrębna od przekonań, skoro sumę potrzebną zebrano, wzmogła się i liczba niezadowolonych.

Następują wydarzenia smutne, przynoszące ujmę młodzieży, hańbiące wykonawców. Korespondenci nie oszczędzili ich, więc daleko rozniosło się, że młodzież pokryjomu wyniosła z sali kliniki popiersie rektora, ofiarowane mu przed laty przez dawnych uczniów i na podwórzu przeciwległego kolegium roztrzaskała wśród okrzyków. Ręce, które brutalnie niszczyły dzieło sztuki, to te same, które nieraz i niedawno przyjmowały jego dobrodziejstwa, pomoc, kiedy jej potrzebowały, a pomoc w takiej postaci, że szlachetnością rozrzewnić musiała. I to nie tajne, że w nocy z wrzaskiem zebrani przed jego domem w dźwięku rozbitych szyb słyszeli hymn tryumfu. Nazajutrz odbyło się zgromadzenie studentów w sali restauracyjnej i w chwili, gdy jeden z obecnych nawoływał do spokojnego zachowania się nadal, urzędnik policyjny wezwał do rozejścia się, a gdy to nie pomogło, sprowadził wojsko. Łatwo przewidzieć zmianę w umysłach; na widok bagnetów owładnęło studentów wzburzenie, lecz ulegając spokojnie, opuścili salę. Wojsko ukazało się jeszcze dnia następnego i na pociechę drobiazgu ulicznego, biegało tam i napowrót pod przewodnictwem agentów policyjnych.

Działo się to z polecenia władz odpowiednich a skoro namiestnik przybył do Krakowa, pierwsza prośba rektora była o usunięcie wojska i policyi, druga o nierozwiązywanie „Czytelni akademickiej.“

W tym samym czasie zgromadzenie studentów uchwaliło prosić senat, aby rektor ze stanowiska ustąpił, gdy druga część młodzieży wniosła przeciw temu protest. Deputacyi akademickiej, wysłanej do Wiednia, minister oświaty odmówił posłuchania, czekają zatem na posłów... niemieckich, którzy mają być rzecznikami.... polskiej młodzieży.

Prawie że skończyłem sprawozdanie; nie mnie tu sąd wydawać; ale skoro zobaczyłem zblizka, że może być wielki tłum a mała sprawa, wielka wrzawa a mało głosu rozsądku, wielki czyn a pobudki nizkie, zrozumiałem, że można nacierać na masy a nie drgną, gdy pod dmuchnięciem falą się posuną. Ostatnie wypadki potwierdziły tradycyjną naszą zmienność i wrażliwość na cudze wpływy, obecny spokój i liczne głosy współdziałających potępiające już niedawne rozruchy, znamionują siłę owego słomianego ognia, który podłożony prywatą zgasł, pozostawiwszy po sobie trochę dymu i popiołu *).

Mor.

SZTUCZNY CHÓW STAŃCZYKÓW.

(Korespondencya przygodna).

Kraków, 2 lutego.

Kraków stał się widownią niebywałego dotąd w Austryi wypadku: w obronie rektora wojsko z bagnetami uderzyło na studentów. We wszechnicach austryackich zdarzały się różne zaburzenia studenckie — np. demonstracye techników wiedeńskich przeciw prof. fizyki Pierremu a następnie burszów niemieckich — przeciw prorektorowi Maassenowi, z powodu jego obrony czechów wiedeńskich, różne wystąpienia studentów młodo-czeskich w Pradze itd. Ale kilkutysięczny tłum studentów wiedeńskich utrzymała zawsze policya w porządku. Pod koniec roku zeszłego w Gracu wzburzyło się 500 medyków niemieckich i słowiańskich przeciw prof. Hollowi, ale krikalny rektor tamtejszy, nie wzywając ani jednego policyanta, załagodził swem sumiennem pośrednictwem ten zatarg tak sprawiedliwie, że po dwóch tygodniach wołali studenci: „prosit...“ Hollowi. Nawet we Lwowie, gdy (po wiecu) 9 i 10 marca 600 studentów zgromadziło się przed policyą i namiestnictwem, dyrektor policyi zakazał swym podwładnym atakować studentów, a o wojsku nikt nie myślał, przy zamieszkach zaś na uniwersytecie, po usunięciu przywódców wiecu, obeszło się również zupełnie bez policyi. Dopiero rektor Korczyński jest pierwszym w Austryi, który wezwał *wojsko* przeciwko własnym słuchaczom! Do tego doprowadziła gospodarka stańczyków wszechnicą Jagiellońską! Nie zadawalając się opanowaniem uniwersytetu i wyzyskiwaniem go dla swoich agitacyj i senekur, powierzanych swoim „menerom,“ chciałaby „spółka komandytowa“ z „Czytelni akademickiej“ zrobić drugie gniazdo stańczykowskie, co jest przyczyną ciągłych zatargów między senatem uniwersyteckim a młodzieżą. Żeby wywrzeć większy nacisk na Czytelnię „zrzekł“ się w lutym 1884 r. senat „opieki“ (?!!) nad nią. Gdy pomimo to nie wybrano wydziału stańczykowskiego, rozwiązało namiestnictwo Czytelnię w październiku 1884 r. „ponieważ senat cofnął opiekę“ a właściwie na jego życzenie. Skutkiem bezzwłocznego odwołania się wydziału do ministerstwa, to ostatnie unieważniło rozwiązanie Czytelni jako *nieprawne*, o czem jednak zawiadomiono studentów dopiero 9 maja 1889 roku! Załatwienie apelacyi po 5 latach można sobie tylko tem wytłomaczyć, że namiestnictwo czekało, aż młodzież o tej sprawie zapomni, a tym sposobem zmniejszy się kompromitacya profesorów stańczykowskich. Gdy w listopadzie 1884 r. wytworzona nowa „Czytelnia“ pozostała wierną zasadom rozwiązanej, założono „Bractwo filaretów“ dla sztucznego chowu nowych stańczyków. Pomimo usiłowań kilku lepszych jednostek, stało się ono „sportsklubem,“ rekrutowanym z rozlazłych paniczyków, ich lokajów i karyerowiczów różnego rodzaju, oraz szkółką docentów i biurokratów, lecz wbrew gorliwej protekcyi hr. Tarnowskiego, „hofraty fujarety,“ pogardzani przez całą młodzież, nie mają żadnego znaczenia w życiu akademickiem. W Czytelni tymczasem po wystąpieniu „filaretów“ wyłoniły się dwa stronnictwa: demokratyczne, zwolenników *N. Reformy* i postępowców czyli ludowców, hołdujących zasadom *Kuryera lwowskiego* a szczególnie tamtejszego *Przyjaciela ludu*. Do ostatnich należała redakcya *Ogniska* pierwszego pisma akademickiego, które jednocześnie przez *Czas* i *N. Reformę* zostało potępione z niebywałą u nich nigdy jednomyślnością i wywołało żywe protesty demokratów krakowskich i „narodowo-postępowych“ akademików lwowskich; nic też dziwnego, że i stańczycy się niem bardzo przestraszyli. Lecz profesorowie uniwersyteccy nie powinni się byli mieszać do spraw studenckich, tembardziej, że skrajny kierunek *Ogniska* był tylko naturalną reakcyą przeciwko feudalno-klerykalnemu uciskowi stańczyków. Żeby zgnieść *Ognisko* i jego stronników, stańczycy zaczęli nagle popierać partyę demokratyczną w Czytelni, którą przez tyle lat gnębili i prześladowali, wreszcie, dostawszy się między dwa ognie: filaretów i postępowców—straciła ona wszelką żywotność a przez niespodziewane poparcie profesorów stańczykowskich ostatecznie skompromitowaną została w oczach młodzieży, wskutek czego pomimo agitacyi rektora, prezesem i sekretarzem Czytelni obrano dwóch redaktorów *Ogniska*, a do wydziału weszli sami jego stronnicy, tj. ludowcy. Rozgniewany tem niepowodzeniem senat akademicki zaczął traktować wydział Czytelni wzgardliwie i nie chciał uznać utworzonego przezeń komitetu dla urządzenia wieczorku dorocznego, a rektor odmówił swego pozwolenia. Po tej odmowie zwróciła się Czytelnia do policyi i starostwa, które, pomimo usilnych zabiegów rektora, pozwoliły na urządzenie wieczorku, gdyż nie miały najmniejszej prawnej pod-

---

*) Tak się przedstawia awantura uniwersytetu według naszego korespondenta, któremu ufamy, bo odznaczał się zawsze sądem trzeźwym i krytycznym. Jednocześnie odebraliśmy w tej sprawie list inny, który jako głos strony niżej pomieszczamy, na odpowiedzialność znanego nam imiennie autora. *Red.*

stawy do zakazu. Ażeby się zemścić na studentach za ten własny skandal, senat wytoczył śledztwo 18 akademikom i 3 z nich, redaktorów *Ogniska*, a między nimi prezesa i sekretarza Czytelni akademickiej, wykluczył na dwa lata z uniwersytetu za rzekome „nieoddawanie mu czci należnej i uszanowania" a rzeczywiście za przywództwo postępowej partyi i za wydawanie pisma. W dzień relegacyi urządza rektor u siebie *wieczorek* jako ucztę tryumfalną, na którą zaprasza *prezesów kilku związków akademickich*. Bo też to bardzo trudne zwycięztwo, gdy wilk jest zarazem sędzią! Cóż dziwnego, że takie brutalne postępowanie przyprowadziło studentów do rozpaczy! Prof. Korczyński może być dumnym, że on jest pierwszym rektorem w Austryi, który nie pozwolił urządzić wieczorku Mickiewiczowskiego, czego nietylko rektorowie niemieccy „Ognisku" wiedeńskiemu, ale nawet *pruscy* tamtejszym związkom polskim nigdy nie zakazywali. Na innych uniwersytetach studenci proszą rektora o opiekę przeciwko rozporządzeniom policyi — prof. Korczyński jest pierwszym rektorem, przeciwko któremu studenci szukali opieki policyi, która okazała się liberalniejszą od rektora! Wogóle na żadnym innym uniwersytecie nie mieszają się profesorowie do wyborów w związkach studenckich, ani do ich spraw wewnętrznych, w które tylko wtenczas się wdają, gdy policya żąda przeprowadzenia śledztwa dyscyplinarnego. Na wszystkich innych uniwersytetach austryackich tylko do *ogłoszenia* wieczorku na *uniwersytecie* potrzeba *vidi* lub *licet* rektora, jeżeli zaś studenci nie ogłaszają wieczorku na uniwersytecie, gdy im tylko policya pozwala, nie potrzebują rektora wcale zawiadomić. Często jednak zdarza się, że rektor pozwala na urządzenie wieczorku, a policya go zakazuje; zresztą np. senat wiedeński, gdzie jest 115 stowarzyszeń akademickich, musiałby chyba oszaleć, żeby miał każde tak pilnować, jak senat krakowski „Czytelnię akademicką." Podobnież niemieckie czytelnie akademickie w Austryi, nie znają żadnych „kuratorów," tej specyalnie krakowskiej instytucyi, mającej za cel propagandę stańczykowską między młodzieżą. Zakaz wieczorku Mickiewiczowskiego przez rektora był poprostu nielegalnym, albowiem pozwolenia lub zakazy tego rodzaju należą do policyi; usunięcie zaś trzech studentów było aktem zemsty osobistej.

Czas by był, żeby profesorowie krakowscy poznali raz prawdziwą przyczynę ciągłych zatargów z młodzieżą i ponawiających się ciągle zaburzeń i żeby poprzestali na pełnieniu właściwych swych obowiązków, które leżą na polu badań i prac naukowych, nie zaś na polu agitacyi politycznych. Profesorowie powinni raz na zawsze odciąć się od propagandy stańczykowskiej; zadaniem ich jest kształcić młodzież w umiejętnościach i naukach, nie zaś wychowywać przyszłe zastępy stańczyków. Dopóki zaś nie zaprzestaną apostołować wśród młodzieży dogmatów stańczykowskich, dopóty owe coroczne zatargi i rozruchy, które są naturalnem następstwem tej roboty, nie ustaną.

Ver.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

1 lutego.

Pamiętniki Fryderyka Spielhagena. — Realizm zdobywa sobie adeptów w urzędach starej gwardyi literackiej: „Wahrheit," nowela Karola Frenzla.

Pewni, że po ich zejściu historycy literatury wnikać będą w najdrobniejsze szczegóły ich życia, wybitni pisarze dzisiejsi dbają o wiarogodne przedstawianie swego rozwoju i działalności. Autobiografia jest dziś modą literacką, a przyznać należy, że ona nieraz jest bardziej pouczającą dla czytelnika, aniżeli utwory jej bohatera. Uwaga ta w pełni stosuje się do ogłoszonych świeżo pamiętników Fryderyka Spielhagena. Tytuł ich „Finder und Erfinder" (Znalazcy i wynalazcy) zrozumiałym jest dla tych, którzy znają estetyczne rozprawy Spielhagena, zwłaszcza jego przyczynki do techniki powieści. Tworzenie poetyckie, zdaniem jego, to znajdowanie i wynajdywanie; a pamiętniki wykazać mają, co w utworach jego jest wynikiem pilnego rozglądania się i szczęśliwego przypadku, a co owocem twórczości talentu. Rozwój epika niemieckiego występuje tu istotnie w jasnem oświetleniu psychologicznem. I podczas gdy jego „technika powieści" niejednego tem zrażała, że przedstawił w niej raczej sposób własnego tworzenia, aniżeli zasady objektywne, z pamiętników dowiadujemy się chętnie, dlaczego młodzieniec o właściwościach umysłowych Spielhagena wśród otaczających go warunków zostać musiał twórcą powieści idealistyczno-realitycznej.

Pamiętniki pisane są z prawdomównością niezwykłą a bez próżności zbytniej. Lata chłopięce przebył Sp. w domu rodzicielskim w Stralsundzie, śród otoczenia małomieszczańskiego. Jedynie postać matki jego, niepospolicie pięknej i uzdolnionej, wywarła tu wpływ na wyobraźnię syna. Rodzice jego nie byli pobożni, tak, że Spielhagen wiary nigdy nie posiadał i przez długi czas wcale nie rozumiał nastroju pobożnego. Zarodki siły poetyckiej upatruje on już w bajaniu chłopca. W wypracowaniach szkolnych celował, zwłaszcza ilekroć dyktował je koledze niezdolnemu. Dyktowanie pozostało właściwością Spielhagena do dziś; żona jest mu sekretarzem. Jako młodzieniec dorastający spłodził niesłychaną ilość dramatów, powieści i epopei. Nie miał nauczyciela, któryby wywarł nań wpływ wybitny; ale wśród towarzyszy młodości znalazł młodzieńca niepospolitego, obdarzonego umysłem krytycznym a jednocześnie twórczym, niejakiego Adalberta, który umarł nieznany; jest to jeden z prototypów „Natur zagadkowych."

I Spielhagen wątpił niegdyś o swem uzdolnieniu, jednak ma świadomość, że należy do umysłów „wynalazczych." Potrzeba mu było zdolności szukania i znajdowania: objawia się ona, skoro tylko młodzieniec wystąpił w świat szerszy. Niedojrzałym jeszcze będąc, już umie zgłębiać ludzi otaczających go, zgłębiać tak trafnie i dokładnie, że skoro dziś zastanawia się nad swemi ówczesnemi wyobrażeniami o nich, wydają mu się słuszne. Do obserwacyj swych, poczynionych w wieku młodzieńczym, wielką nawet przywiązuje wagę. Bo chociaż rysunek poprawny i plastyczne zaokrąglenie było rzeczą artysty dojrzałego— ciepły koloryt pisarz, stojący na wyżynie twórczości, zawdzięcza młodzieńcowi.

Spielhagen przyznaje, że bezustannie szukał modeli. Trafnie zauważono, że gdyby urodził się o dwadzieścia lat później, zostałby jednym z wybitnych realistów. Lecz on wyrósł w innej jeszcze atmosferze estetycznej. Z rzeczywistości tworzy przy pomocy wyobraźni coś innego, co już nie zupełnie jej odpowiada. Gorzko wyrzuca on się o „tych, których przyroda uczyniła kopistami, odmawiając im zdolności komponowania a tem samem wyższego artyzmu."

Spielhagen słusznie upatruje łączność między epicznym kierunkiem swego talentu a niezwykłem zamiłowaniem i pojmowaniem przyrody. To też w utworach jego wszędzie prawie widzimy symboliczne splatanie zjawisk natury z psychicznem życiem człowieka. Morze, które już jako dziecko poznał w Stralsundzie, mieni pierwszą i ostatnią swą miłością. Późno dopiero otwierają się dla czary krain górskich. Lecz nie brak mu też zmysłu dla nizin; Pomorze i okolica rygska znaczną odgrywają rolę w dziełach jego. Wśród szlachty pomorskiej przebywał długo i mnóstwo z typów swych, zwłaszcza kobiecych, znalazł w jej zamkach. Już czytelnik spodziewa się, że pozna Melrittę v. Berkow, Emilię v. Breesen, Helenę v. Grenwitz — lecz Spielhagen dyskretnie spuszcza zasłonę, wspominając tylko przelotnie o słodkich chwilach, spędzonych w towarzystwie tych pięknych kobiet.

Szczegółowo opisuje swe lata uniwersyteckie. Już z opisu Strodtmana znamy bladego, długowłosego studenta, przykrego w towarzystwie, który wiecznie cytuje Goethego i Homera, Shakespeare'a i Sofoklesa, a żyje w sprzeczności z sobą samym. Z medycyny przechodzi na prawo, z prawa na filologię, kończąc studya w Greiswaldzie. Politykę zaczyna rozumieć dopiero, kiedy w Bonn poznaje Kinkla i Strodtmanna. Wiedziony nieomylnym instynktem „poszukiwacza-poety," jedzie z Bonn do Kolonii, by słuchać obrony Lassalla w sprawie skradzionej szkatułki. Niebawem Lassalle pojawił się w powieściaah Spielhagena. Jest on prototypem Oswalda Steina, po części i Oldenburga w „Naturach zagadkowych," a cała sylwetka jego odbija się w postaci Leona Gutmanna w „In Reih' und Glied." Rewolucyoniści z r. 1848, których charaktery tak silnie wryły się w wyobraźnię młodego Spielhagena, odradzają się w figurach spiskowców socyalno-demokratycznych, które występują w najnowszych jego powieściach "Was will das werden" i „Der neue Pharao." Opis czasów studenckich pełen jest epizodów zajmujących. W Bonn styka się Spielhagen po raz pierwszy z królewiczem Fryderykiem, ośmnastoletnim wówczas studentem. W Gotha, zawezwany powtórnie przez Fryderyka, poznał się z Gustawem Freytagiem, przebywającym w towarzystwie następcy tronu. Niemiłym był stosunek obu powieściopisarzy. Spielhagen ogłosił był ocenę „Fabijczyków" Freytaga, w której niekorzystnie wyrażał się o całej działalności literackiej słynnego autora. Freytag zaś gwałtownie potem wystąpił przeciw Spielhagenowi, mieniąc utwory jego „półświatkiem powieści politycznych, religijnych i społecznych." Nowy przykład, że dopiero w stosunku umysłów pierwszorzędnych zatraca się pierwiastek zazdrości, dzielący współzawodników niższej rangi. Goethego łączyła przyjaźń z Schillerem, Freytag zaś w salonie Fryderyka okazał — jak się Spielhagen wyraża — że chęć osobistego zbliżenia się do Spielhagena była w nim tak małą, jak i w Spielhagenie.

Świadomość braków w wykształceniu naukowem hamowała popęd twórczy Spielhagena. Dopiero nieszczęśliwa miłość do bogatej szlachcianki podbudza jego płodność. Ogłasza pierwszą nowelę „Clara Vere," a przebywszy walkę z ojcem, rzuca zawód uczonego i zostaje pisarzem. W drugim tomie autobiografii, który niebawem ma się pojawić, poznamy poetę jako nauczyciela domowego, jako oficera, jako aktora a wreszcie jako powieściopisarza, który w trzydziestym roku życia większym swym utworem zdobywa sobie miejsce pierwszorzędne.

Podczas gdy Spielhagen staje do walki z młodymi realistami, broniąc powieści idealno-realnej, jeden z najwybitniejszych dawnych jego towarzyszy skłania się coraz bardziej do kierunku nowego. Karol Frenzel, słynny krytyk i nowelista berliński, którego nazwano „wstydzącym się protektorem" realistów, już w przedostatniej noweli swej "Schönhert" stanął na pograniczu między starą a nową szkołą. Dziś ogłasza drugą nowelę p. t. „Wahrheit," która godzi się zupełnie z kierunkiem Ibsena. „Prawda" Frenzla, to prawda większości dramatów Ibsenowskich. Streszcza się ona w słowach, że szczęście ludzkie oparte na kłamstwie; burząc kłamstwo, burzymy też szczęście.

Pastor Wahrmund dręczy się myślą, że zmarła żona jego była mu niewierną i że córka jego Marya nie jego jest dzieckiem. Nie szanując tajemnicy grobu, szuka dowodów dla swego podejrzenia dopóty, aż istotnie je znajduje. Prawda, której brak go unieszczęśliwiał, poznana wreszcie, zabija go; a niszczy ona zarazem szczęście Maryi. Lecz morał, wypływający z utworu Frenzla, różni się od zasadniczych poglądów Ibsena. Frenzel każe wprost unikać prawdy unieszczęśliwiającej:

„Skoro takie są skutki prawdy — pisze autor — niechaj ona nigdy nam się nie odsłania. Dusze wrażliwe nie znoszą widoku osadu życia ludzkiego. To, czem dla natur grubszych jest upojenie, dla subtelniejszych jest kłamstwo; jedno i drugie unoszą je po nad nędzę i podłość świata rzeczywistego.“

Zdaje się Frenzlowi, że z myślą tą stanął na wyżynie filozofii prawdziwie humanitarnej, jednającej człowieka nowożytnego ze światem i że tem samem uzupełnił kierunek Ibsena pierwiastkiem dodatnim. Dla nas jest to morał wodnisty, słodkawy, bezsilny; a skoro nowelę Frenzla uważamy za godną poznania, to mamy na oku głównie prześliczny język, żywo przypominający prozę Goethego i misterną technikę utworu.

Ladawa.

JÓZEF IGNACY DÖLLINGER.

W zeszłym roku święcono w Niemczech dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin słynnego teologa — „wyklętego.“ Jubileusz ten był wieńcem promieni, któremi życie żegnało sędziwego badacza. Klątwa kościelna nie przyśpieszyła jego zgonu; prezydent monachijskiej Akademii umiejętności żył dłużej, aniżeli większość wiernych synów kościoła. Nigdy fama bardziej policzków swych nie wydyma, aniżeli nad świeżym grobem swych ulubieńców: to też niemcy z jedną tylko postacią dziś równają Döllingera — z Marcinem Lutrem. Jeżeli co istotnie przypominało w nim owego reformatora, to przedewszystkiem zwrot w poglądach, który nastąpił nagle a jednak nie zachwiał wiary społeczeństwa w prawość i szczerość walczącego teologa. Kościół i naród niemiecki nie od razu zwrot ten zrozumieli. Döllinger przez długie lata znany był jako wymowny obrońca roszczeń kościoła katolickiego, podczas gdy w dziełach jego nowy już wystąpił kierunek. Donośnie zabrzmiał głos jego 1878 r. w parlamencie frankfurckim, żądający dopuszczenia synodów i koncyliów i uwolnienia kościoła od nadzoru państwa policyjnego. Ale ten zwolennik koncyliów rozsławił się jeszcze bardziej opozycyą przeciw koncylium watykańskiemu. Nie zrozumiano zmiany, jaka w nim zaszła, kiedy w r. 1861 przepowiadał sekularyzacyę państwa kościelnego, nie zrozumiano jej, kiedy w parę lat potem zwołał wiec uczonych teologów do Monachium dla rozpatrzenia potrzebnych w kościele reform, nie zrozumiano jej nawet, kiedy ogłosił dzieło swe o średniowiecznych mitach papieskich; a jednak, zbijając w książce tej tradycyę o darowiźnie Konstantyna, stanął na gruncie, na którym opierali się Lorenzo Valla i Ulryk Hutten. Dopiero listy Janusowe, wydane wspólnie z Huberem i Friedrichem, otworzyły oczy kościołowi, prasie i publiczności niemieckiej. A kiedy ogłosił swe prace o dogmacie nieomylności i o porządku spraw koncylium watykańskiego, poznano w nim dzielnego wodza opozycyi przeciw uroszczeniom hierarchii, wypróbowanym przez jezuitów. Żądał on niegdyś soboru, lecz nie takiego, któryby poniżył episkopat; a zwalczając moc obowiązującą uchwał watykańskiego, dowodził, jako chrześcianin, teolog i historyk, bezpodstawności nowego dogmatu o nieomylności papieża. Lecz należy zaznaczyć i to jego podobieństwo do Lutra, iż w myślach i czynach nie przekraczał nigdy ram kościoła, że nigdy nie uważał się za polityka, że dogmatu nieomylności nie zwalczał jako obywatel, w interesie państwa, lecz jako teolog, znający historyę kościoła. Dlatego też zawsze trzymał się zdala od ruchu staro-katolickiego; będąc wyklętym, uważał się jednak za złączonego z kościołem i niczego uczynić nie chciał, coby na zerwanie węzłów tych wyglądać mogło. I oto główny rys różniący go od Lutra: wielu spodziewało się po nim, że postępując na drodze opozycyi, zostanie założycielem narodowego kościoła niemieckiego. Ludzie ci przeoczyli, że Döllinger w chwili, kiedy starcie jego z papiestwem wystąpiło jawnie, miał lat przeszło siedemdziesiąt. Na czyn tak wielki sił mu już nie starczyło.

Los „wyklętych“ znośniejszym jest dziś, aniżeli przed kilku wiekami. Zamiast stosu lub tułaczki dozgonnej, doznał Döllinger zaszczytów, a rząd współzawodniczył z narodem w uprzyjemnianiu mu życia oznakami czci i hołdu.

Kiedy po oddaleniu siedmiu profesorów z Gettyngi jeden z nich powołany został do Tybingi, król August hanowerski zapytał Wilhelma wirtemberskiego: „Dlaczego wezwałeś profesora, którego ja wypędziłem?“ „Właśnie dlatego! — odparł wirtemberczyk.“ „Właśnie dlatego“ Döllingera po ekskomunikacyi obrano rektorem wszechnicy monachijskiej, a następnie prezydentem Akademii umiejętności, w której tylokrotnie wygłaszał swe słynne rozprawy inauguracyjne. „Właśnie dlatego“ obierano go stale deputowanym do Rady państwa i „właśnie dlatego“ mówiono i pisano o nim w Niemczech jako o świeczniku narodu.

Lecz pomijając zupełnie owe stosunki dziejowe, które Döllingera wyniosły na wyżyny rozgłosu i życia publicznego, znajdujemy w nim jednego z najbardziej zajmujących myślicieli i uczonych naszego stulecia. Nie dokonał on reformy religii, a jednak, jak niezwykłą była świeżość ducha tego człowieka, który w siedemdziesiątym roku wystąpił przeciw papieżowi, a następnie jeszcze lat dwadzieścia pracował umysłowo, ogłaszając rzeczy poważne i nowe! Niejednego zajmą tedy wiadomości, udzielone przez profesora Stievego, historyka monachijskiego, o sposobie życia Döllingera. Był towarzyskim, żywym i wesołym, skorym do żartów. Jednak unikał niemal zupełnie wszystkiego, co nazywamy przyjemnością życia. Jedynym odpoczynkiem były codzienne przechadzki, trwające kilka nieraz godzin. Zresztą od wczesnego ranka aż do późnej nocy siedział nieruchomie przy biurku. Pracował namiętnie, lecz zawsze z oględnością wielką dbał o zachowanie zdrowia. Zrana pijał kawę, w południe jadał mało, wieczorem znowu poprzestawał na kawie, unikając wieczerzy. Trunki gorące mienił „mordercami ludzkości,“ a prawdziwą nienawiść czuł dla piwa, które, według niego, ogłupia ludzi. Obok powściągliwości przyczyniało się do utrwalenia zdrowia jego głównie niezwykła zdolność snu, którym równoważył wyczerpującą pracę umysłową. To też siły jego jeszcze na parę miesięcy przed śmiercią były tak znaczne, że przemawiał w Akademii półtora godzin bez przerwy. Niemniej świeżą miał pamięć, władając ośmioma językami. Skromne prowadzenie życia umożliwiało mu rozszerzanie księgozbioru. Została po nim biblioteka historyczna i teologiczna, uchodząca za najobfitszy i najdobrańszy w świecie zbiór prywatny.

L.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wieści z kraju Ugolinów. — Powolny ruch „akcyi ratunkowej“ i niecierpliwość objawiona z komisyi teatralnej, — Jaki obrót rzeczy bywa pomyślnym dla pewnego kraju. — Galicya do sprzedania. — Warsztaty Staszica i wdzięczność biedaków. — Zbiorowa prośba maszynistów kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. — Mierzwiński, — Koncert na dochód artystów. — Z, Noskowski. — Choroba ludzi pracujących. — Dopełnienie wiadomości o Kamińskim.

Przygodny korespondent ze Lwowa przysyła nam urnę łez i wiązkę piorunów na „akcyę ratunkową“ w Galicyi, przypatrującą się obojętnie strasznemu widokowi nędzy ludu i czekającą zapewne chwili, kiedy po koniach i bydle głodni chłopi zaczną sami wychodzić do lasu i tam się wieszać nawet bez pociechy, ażeby sprzedane z nich skóry przyniosły coś pozostałym rodzinom. „W tem okropnem położeniu — pisze nasz korespondent—przydałoby się nam sąsiedztwo ludożerców, bo przynajmniej ci nabywaliby starców i kaleki za kukurydzę i banany. Tymczasem gdy dziś wieśniak wyzbył się ze wszystkiego, co posiadał, gdy nie ma ani konia, ani wołu, krowy, wieprza, kury, zboża, kartofli, tylko kilka głodnych żołądków, co pocznie? Będzie gryzł ziemię, która go nie nakarmi i która mu nic nie zawiniła? Jest to trudne do pojęcia i wiary, a jednak prawdziwe, że opinia publiczna daleko bardziej niecierpliwi się powolnością działań komisyi teatralnej, ktora dotąd nie wyszukała odpowiedniego placu, niż powolnością „akcyi ratunkowej,“ która tak postępuje, jak gdyby uszczęśliwić chciała lud skutkami przymusowej dyety. Wobec bowiem głodu Ugolinów rozprawia, rozprawia i rozprawia, a przytem pełne worki ściskają się kurczowo, aby im nie zbrakło na kosztowne przyjęcie jakiegoś księcia lub dostojnika.“

Nie powiem, ażeby odgłosy tej nędzy i tego strapienia mąciły nam karnawał; spotykam jednak ludzi (wprawdzie nienoszących podczas zapust ani mózgu, ani serca w nogach), którzy głęboko wzdychają i nad niedolą braci i nad własną niemocą. Inaczej było przed dziesięciu laty podczas głodu szlązaków, inaczej...

Z tej wszakże krainy Hioba nie same złe nadchodzą wieści. Oto korespondent *Gazety polskiej* przysyła nam z niej rajskie jabłko. Wiadomo — pisze on — że skarb państwa posiada wiele dóbr ziemskich w Galicyi: w 244 miejscowościach wraz z ziemią należy do niego prawo propinacyjne. Po zniesieniu tego prawa kraj musi ze swych funduszów wynagrodzić skarb sumą 1,526,828 złr., która w drodze reklamacyi wzrośnie do 2 milionów. Chodzi więc o to, ażeby powyższa kwota została *o ile możności* korzystnie dla Galicyi zużytkowaną. „Stałoby się to zaś *wtedy* — przytaczam dosłownie—gdyby rząd pieniędzy tych użył na *zakupno nowych dóbr* wyłącznie w Galicyi, a zwłaszcza lasów, nad którymi rozciągnąwszy opiekę przez zaprowadzenie racyonalnej gospodarki, powstrzymałby od wyczerpania wspaniałe skarby podkarpackich borów, dziś, niestety, coraz bardziej niszczonych. Rząd tedy, według pewnych wiadomości z Wiednia, *przychyla się* do tej myśli, aby w powyższy właśnie sposób *swój* majątek nieruchomy w Galicyi, znacznie uszczuplony w czasach dawniejszych, doprowadzić do rozmiarów pierwotnych. *Taki obrót rzeczy byłby oczywiście dla naszego kraju pomyślnym.*“

Wielkie uczucia, wielkie myśli zdarzają się rzadko, więc gdy się objawią, trzeba je uczcić należycie. A czyż nie wspaniałą jest owa lojalność galicyjska, która nie zna różnicy między „krajem“ a „rządem,“ między „mojem“ pierwszego a „twojem“ dru-

giego? Czyż ona nie imponuje, gdy oddanie skarbowi ziemi i lasów za 2 miliony złr. uważa za „korzystne zużytkowanie“ długu, gdy mu chce przywrócić majątek nieruchomy „do rozmiarów pierwotnych,“ gdy „taki obrót rzeczy“ wydaje się jej „oczywiście dla kraju pomyślnym“? Pójdźmy o kilka kroków dalej w kierunku tych zachwytów. Gdyby rząd nabył wszystką ziemię i lasy, tj. całą Galicyę, „taki obrót rzeczy byłby oczywiście dla kraju... najpomyślniejszym,“ a jeżeli tego dotychczas nie zrobił, to prawdopodobnie tylko skutkiem braku potrzebnej sumy. Nie należy wszakże tracić nadziei — p. Dunajewski wykazuje coraz większy przyrost w dochodach państwa, a szlachta galicyjska coraz większy niedobór w swoich. Pomału więc warunki tranzakcyi ułożą się przyjaznie dla stron obu. Przewidując wszakże tę możliwość i chwaląc obecne jej postępy, pozwolę sobie zwrócić uwagę jej obrońców, że chociaż „ziemia i lasy“ dostatecznie już im zbrzydły, a guldeny nabrały szczególnego uroku, pamiętać trzeba, że guldeny wypłacone w długu można łatwiej sprowadzić z Wiednia do kraju, niż odzyskać sprzedane „ziemie i lasy.“ Nie chcąc zaś psuć interesu patryotycznego, ogłaszam, skoro on tego wymaga, że każdej chwili jest do odstąpienia Galicya więcej dającemu ze wszystkiemi nieruchomościami i jedynie z wyłączeniem inwentarza dwunożnego.

Niech będzie wieczną wdzięcznością pochwalane imię Staszica, który nie zamienił miłosierdzia na samolubną wygodę i pozostawił biedakom troskliwie zebrany fundusz, zasilający obecnie świeżo otwarte pod jego nazwiskiem warsztaty. Znajdują w nich utrzymanie i pracę inwalidzi robotnicy i ich dzieci. Niewielka dotąd zebrała się gromadka, bo zaledwie kilkanaście dni upłynęło od wykończenia tego zacnego przytułku; wkrótce jednak zapełni on się całkowicie i będzie przedmiotem marzeń dla wielu, którzy w nim miejsca nie znajdą. Doświadczenie osądzi praktyczność i użyteczność tych warsztatów, ale jakikolwiek będzie jego wyrok, postać Staszica nie straci w żadnym razie ani jednego promienia ze swej aureoli. Bo gdyby nawet jego poczciwe oszczędności chybiły celu, lub wsiąkły w spieczony grunt życia jak nikła rosa, on zawsze pozostanie ze swą dobrą wolą i szlachetną dbałością o poprawę losu wydziedziczonych. Nie mamy zresztą dotychczas żadnego powodu źle wróżyć warsztatom Staszica; chociaż czas wykaże w ich ustroju wady, czas je również poprawi.

Nie sądźcie szanowni i szczególnie sercu mojemu drodzy Fikalscy, ażebym naprzekór waszemu weselu karnawałowemu, umyślnie wydobywał z głębin życia obrazy posępne. Bynajmniej — to życie samo na wierzch wypływać im każe, bez żadnej przytem myśli zepsucia wam drogocennego humoru. Podsunęło ono znowu uwadze naszej smutki służby kolejowej — tym razem warszawsko-wiedeńskiej. W ostatnich latach uwolniono kilkudziesięciu maszynistów i ich pomocników — naturalnie dla oszczędności — a ich zajęcia rozłożono na pozostałych. Przeciążeni pracą, wymagającą ciągłej czujności i niedopuszczającą przerw, skarżyli się zarządowi wielokrotnie. Ale jeżeli człowiek ma dwoje uszu po to, ażeby jednem cudze żale wpuszczał, a drugiem wypuszczał, to ileż łatwiejszą jest taka wentylacya dla ciała, posiadającego bardzo złożony organ słuchu. Więc też odbywała się prawidłowo. Nareszcie maszyniści doszli do wniosku, że głosy ich, zlane w jeden, może snadniej przedrą się do serca zwierzchności i podali prośbę zbiorową. Jaki będzie skutek uderzenia w wielki dzwon — nie wiem, chociaż nie przypuszczam, ażeby zarząd drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, naśladując obecną modę w sporach międzynarodowych, zdał się na sąd rozjemczy i powierzył go p. Halpertowi, najpoważniejszemu znawcy systemu oszczędności. Wprawdzie genialny ten reformator, po zamianowaniu nowego dyrektora kolei Nadwiślańskiej, ma z niej zdjąć swą ojcowską rękę, ale jeżeli — jak doniosły pisma — uczyni to przedewszystkiem „dla zdrowia,“ to nie należy mu przeszkadzać w kuracyi.

Przyjechał do nas Mierzwiński ze swojem *c* i dał koncert. Może ci się zdaje, czytelniku, że jest lub było kiedyś nazwisko, któreby streszczało w sobie równą wielkość i budziło równą skalę uczuć; w takim razie mylisz się bardzo. Każda litera wyrazu: *Mierzwiński* ma dla nas taką wartość, jak cały *Kopernik* lub *Mickiewicz*. Jest nawet rzeczą niebezpieczną wymawiać ten wyraz do osobników wrażliwszych na ulicy lub w salonie: kobiety dostają ataków nerwowych, a mężczyźni wydają jakieś okrzyki straszliwe. Nawet recenzenci w swych sprawozdaniach ulegają zachwytnemu omdleniu, powtarzając tylko: nie możemy już mówić, słów nam zbrakło, Mierzwiński śpiewał, wyrzucał *c* — nic to starczy za wszystko. W epoce ogólnego zdenerwowania i doświadczeń hypnotycznych, w społeczeństwie, które posiada największą ilość medyów aktorsko-śpiewackich, lekarze rozumnie postępują, ostrzegając, ażeby tego magnetycznego imienia „nie brać nadaremnie.“ Bo pomyślcie o skutkach! Przemawiacie do damy nerwowej: podobno Mierzwiński jeszcze raz... a dama robi histeryczny „most.“ Pozycya wielce nieprzyjemna.

Nie przypuszczam, ażeby pomiędzy czytelniczkami *Prawdy* znajdowały się inżenierki tych „mostów,“ więc bez obawy mogę przed niemi pochwalić p. Mierzwińskiego za przyjęcie udziału w zapowiedzianym koncercie na dochód potrzebujących zasiłku artystów. Jego uczestnictwo zapewni im znaczną część dochodu, bo publiczność warszawska nie zna cen za wysokich na występy p. Mierzwińskiego.

Los bardzo ciężko dotknął znakomitego kompozytora i dyrektora Towarzystwa muzycznego. P. Z. Noskowski od kilku tygodni jest ciężko, a był niebezpiecznie chory. Niewinne z pozoru stłuczenie nogi wywołało liczne powikłania, między któremi objawiła się róża. Podobno stan groźny minął, wyzdrowienie przestało być wątpliwem, ale niewątpliwem jest wyczerpanie sił i... środków. Dla ludzi pracy każda długa choroba staje się zabójczą, bo oni nie mają dni, a tem bardziej miesięcy wolnych, któreby jej ofiarować mogli. Wy szczęśliwcy, zabezpieczeni we wszystkich swych potrzebach, obarczeni tylko zadaniem spychania czasu teraźniejszego w przeszły, mniemacie, że choroby są przypadłościami bardzo dokuczliwemi, gdy was nawiedzą. A jednakże chociaż przebyliście najsroższy tyfus lub zapalenie płuc, nie macie jeszcze należytego pojęcia, co to jest ów tyfus lub zapalenie płuc. Przejdźcie je w niedostatku, przy zawieszonej pracy, którą karmicie wasze rodziny, a wtedy dopiero poznacie terapię społeczną i ocenicie, ile razy nieszczęście na tle ubóstwa jest większem od nieszczęścia na tle zamożności. Natura zarówno w tym, jak w innych wypadkach nie układa stosunków życia sprawiedliwie, a gdyby chciała trzymać się zasady słuszności, kazałaby bogatym i próżniakom chorować w zastępstwie za ubogich i pracujących.

Wtedy i dr. Kamiński z Ożarowa, pobity przez felczerów, nie cierpiałby w szpitalu Ujazdowskim. Poprzednią uwagę moją o obojętności lekarzów warszawskich dla nieszczęśliwego kolegi winienem dopełnić o tyle, że — jak mnie objaśniono ze strony wiarogodnej — doktorowie Rothe i Jakowski okazali mu wszelką życzliwą pomoc, jaka tylko leżała w ich mocy. W każdym razie zdumiewającem jest szybkie przejście opinii nad tym wypadkiem do porządku dziennego. Nie zwykliśmy tak czynić nawet z „prawdziwym“ balem panieńskim. A przecież prasa powinna utrwalić w pamięci ogólnej bolesny dramat nietylko ze względu na człowieka, ale i na sprawę, w której on padł ofiarą. Tak dawno mówimy i piszemy, tak wiele przelelismy z pustego w próżne słów oburzenia i nagany o szkodliwej działalności felczerów, o ich walce z lekarzami, że — zdawałoby się — jaskrawym dowodem ich łotrowstwa wyilustrujemy te nasze skargi. Tymczasem zaregestrowano go tylko do spisu wypadków i zajęto się tysiąckroć mniejszymi drobiazgami. Czyż potrzeba przypominać, ile rozporządzeń i reform urodziło się pod wpływem donośnych głosów sumienia społecznego? Czyż możemy narzekać na bezsilność opinii publicznej, jeżeli ona przechodzi obojętnie około takiego Kamińskiego? Zaiste, jeśli nam kto kiedy dowodzić zacznie, że sprawy zdrowia i lecznictwa na prowincyi, krzywdy ludu wyzyskiwanego i kaleczonego przez felczerów, że wogóle po za teatrem, salą koncertową i balową nic nas nie obchodzi, nie żądajmy od tego oskarżyciela dowodów, bo nam nimi usta zamknie.

Poseł Prawdy.

KRONIKA.

Życie społeczne.

W dniu 26 stycznia r. b. na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów warszawskiego Towarzystwa lombardowego zrobiono obrachunek roczny sumienia (zarzuty opinii publicznej), działalności i jej skutków — plonu dywidendowego... Zarzuty co do wysokości pobieranych odsetków zbito argumentem, że 18% (14% od sum większych) jest mniejszy od pobieranych w innych instytucyach tego rodzaju u nas i w Cesarstwie, niż np. 24%, najniższy, opłacany w licznych lombardach petersburskich. Mieści on bowiem w sobie koszty założenia, konserwacyi itd., to jest, dodajmy od siebie — „wynagrodzenie za ofiarę powściągliwości...“ członków. Skargi na nizki szacunek fantów pozbawiono podstaw wykazem ksiąg rachunkowych, że w r. 1889 „znaczna ilość fantów niewykupionych na sumę 12,760 rs. nie mogła być sprzedaną na licytacyi po cenie szacunkowej i została jako własność Towarzystwa ze znaczną stratą.“ Tak samo i trzeci zarzut co do niestałości terminów przetargu, oraz trudności otrzymania prolongaty, znalazł wytłomaczenie: „nieakuratność interesowanych,“ zgłaszających się o prolongowanie zastawu dopiero w ostatniej chwili — oto czyja wina. Pociąga to za sobą nawał zajęć i „omyłki nieuniknione.“ Za to pocieszające są cyfry inne. Towarzystwo, przy zastawach wynoszących w d. 1 stycznia r. 1890 rs. 523,829 i dochodach rs. 110,452, miało czystego zysku rs. 64,882, z których 50,000 czyli 10% wydzieliło na dywidendę. *L'apétit vient en mangeant* — na temże zebraniu uchwalono wnioski zarządu zwiększenia kapitału przez wypuszczenie nowej seryi akcyj oraz założenie jeszcze jednej filii w Warszawie i Łodzi. Cieszmy się z tego, znać dobrobyt pewnych warstw naszego społeczeństwa postępuje naprzód... Jakaż dopiero wtedy będzie dywidenda naszych lombardników, jeśli jedna z recept, zalecanych przez laureata Pereiry (Adolf Coste, *Hygiena społeczna*) zostanie należycie upowszechnioną u nas. Jest to rada lokowania pieniędzy uzbieranych przez najmitę za lepszych czasów w przedmiotach codziennego użytku, żeby je później na czarną godzinę módz zastawić w lombardzie. Piękny to byłby owoc oszczędności!..

* * *

W kierunku filantropijnym także rośniemy. Przed kilkunastu dniami Kalisz święcił uroczystość otwarcia pierwszej kuchni taniej. Głównym inicyatorem tego zakładu dobroczynnego i zarazem wykonawcą jest dr. Feliks Drecki. Szybkość urzeczywist-

nienia tej myśli świadczy chlubnie o dojrzałości społecznej kaliszan. „Chyba nigdy nasza solidarność w sprawach społecznych świetniejszej nie wytrzymały próby!“ — wykrzykuje *Kaliszanin*. Dla upamiętnienia chwili kilkudziesięciu ubogich otrzymało obiad bezpłatnie. Kuchnia składa się z dwóch zb dużych, dwóch małych, spiżarni itp. Ład wnętrza sprawiać ma oku miły widok. Ale nie dość coś urodzić, trzeba umieć przy życiu utrzymać. Przechodzimy ciekawy okres wielkiej płodności i zarazem wielkiej śmiertelności naszych instytucyj. W poczuciu tej prawdy *Kaliszanin* usiłuje suggestyjnie przelać ogółowi obowiązek utrwalenia bytu nowonarodzonej kuchni. Życzymy powodzenia!

* * *

W lutym lwowski zjazd rolniczy uchwalił „główne *zasady* akcyi ratunkowej“ dla zapobieżenia klęsce głodu. Więc postanowiono: starać się o dostarczenie zboża na zasiew, paszy i soli bydlęcej, przeznaczyć znaczne kwoty na budowę dróg i melioracye rolne, udzielać właścicielom i dzierżawcom folwarków pięcioletnich pożyczek bezprocentowych, popierać wprowadzenie sztucznych nawozów, a wreszcie postarać się o uwolnienie od podatków. Tego wielkiego dzieła dokonał naprzód zjazd rolniczy, który musi wyrażać tylko pobożne życzenia, oddzielone olbrzymią przestrzenią od czynów, a powtóre uchwalił w lutym, kiedy klęska głodu trwa od jesieni. Można mieć nadzieję, że w sierpniu „akcya ratunkowa“ wyjdzie z „zasad“ i dostarczy biedakom zboża na zasiew.

* * *

Miało nam być „wiadomem,“ że Mierzwiński przy śpiewie nie używa... gestów. Teraz zaś — dzięki obszernemu wyjaśnieniu *Kuryera codziennego* — jest nam wiadomem, że po raz pierwszy zrobił gest, śpiewając krakowiaka na ostatnim koncercie. Jakie to szczęście, że ten fakt nie uszedł naszej uwagi. A przecież to tak łatwo stać się mogło!

* * *

Zarząd kolei Nadwiślańskiej, wyjednawszy bez wiedzy i zgody uczestników kasy emerytalnej upoważnienie ze strony ministeryum, wstrzymał wypłatę emerytur występującym ze służby. Czyn ten, nieusprawiedliwiony, chociaż upozorowany złym jakoby stanem kasy, wyrządził krzywdę wielu ludziom. Jeden z nich wszakże, mianowicie b. naczelnik telegrafu, p. Obrąpalski, nie chcąc utonąć w worku „oszczędnościowym,“ wystąpił ze swemi pretensyami na drogę sądową.

Sprawy kolejowe. *Nowosti* donoszą, iż projekt zniesienia biletów bezpłatnych na kolejach upadł z powodu napotykanych trudności.

— Głównemu Towarzystwu kolei ruskich polecono przygotować materyały potrzebne do ułożenia drugiej pary szyn na przestrzeni między Petersburgiem a Białymstokiem tam, gdzie one jeszcze nie istnieją.

— Ostatnia katastrofa na drodze Warszawsko-Petersburskiej (spalenie się wagonu) wywołała śród zarządów kolejowych dążność do zaprowadzenia oświetlenia elektrycznego w wagonach.

— Inspekcya rządowa dróg żelaznych przesłała zarządom kolejowym rozporządzenie p, ministra komunikacyi, dotyczące służby telegrafu, która w składzie osobistym kolei ma stanowić wydział osobny pod kierunkiem naczelnika telegrafu, bezpośrednio podległego dyrekcyi. Połączenie innych wydziałów służby, nawet chwilowo, ze służbą telegrafu, o ile pozwalają na to przepisy, może się odbywać tylko na mocy upoważnienia inspektora rządowego.

— Z polecenia rad zarządzających kolei W.-Wiedeńskiej i Bydgoskiej, dyrekcya wyznaczyła specyalną komisyę do obejrzenia i szczegółowego zrewidowania taboru wagonów osobowych. Po zrobieniu rewizyi komisya orzekła, że zachodzi konieczna potrzeba przerobienia wszystkich wagonów z zaprowadzeniem udogodnień, na wzór innych kolei.

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej poczynił wielkie zamówienia rozmaitych przedmiotów zapasowych na r. b.; między innemi w zakładzie hutniczym w Ostrowcu 70,000 kilogr. obręczy do kół tenderowych i 290,000 kilogr. do kół wagonowych, po cenie rs. 2 kop. 90 za pud. Do kół parowozów 140,000 klg. w Deutz nad Renem po 18 marek za 100 kilogr. z dostawą do stacyi Aleksandrów.

— Budowa kolei żelaznej, mającej połączyć bezpośrednio Kijów z Łozowem, została już rozpoczętą. Finansową stronę załatwia grupa francuska.

— Ministeryum komunikacyi poruszyło sprawę zniesienia zakazu, zabraniającego podróżnym wychodzenia w czasie biegu pociągu na ganeczki wagonów i zamykania drzwi na klucz, jako niedającego należytej rękojmi bezpieczeństwa na wypadek pożaru w wagonie. Przedewszystkiem będzie wzbronione oświetlenie wagonów naftą. Jednocześnie wydano rozporządzenie: 1) aby konduktorzy pod odpowiedzialnością osobistą znajdowali się na każde zawołanie podróżnych i 2) aby zwiększono liczbę obsługi pociągowej. A co na to powie kolej Nadwiślańska?

— Jest w projekcie zbudowanie pomocniczej linii kolejowej, którąby ułatwiła dowóz towarów z Azyi środkowej. Droga stanowić będzie linię dodatkową przy kolei Zakaspijskiej, pod nazwą Piotrowsko-Władykaukazkiej.

Przemysł. Towarzystwo kopalni węgla „Mines de Dąbrowa,“ rozporządzające kapitałem 6 milionów fr., wypuszcza 7,351 obligacyj 5% na giełdzie liońskiej. Produkcya tego Towarzystwa wynosi 500,000 ton; czysty zysk na r. 1889 — 452,725 fr.

— *Nowosti* donoszą, iż fabrykanci wyrobów bawełnianych postanowili ponownie czynić starania o zwrot cła za bawełnę, użytą na wyrób tkanin, wywożonych do Persyi.

— W Tomaszowie Rawskim stan przemysłu jest niepomyślny. Nagromadzone zapasy nie mają odbytu, a kredyt skutkiem niepewności położenia jest bardzo utrudniony.

— Podobno znana pierwszorzędna firma londyńska otrzymała niezwykle duże zamówienie— około 100,000 ton szyn stalowych dla kolei ruskich. (*Nat. Ztng.*).

— Redakcya *Ogrodnika polskiego* zachęca przemysłowców krajowych do założenia specyalnej fabryki marmolady owocowej, której ogromną ilość spożywa ludność tutejsza, szczególnie koło nowego roku. Dotychczas produkt ten pochodzi w gorszych gatunkach z żydowskich fabryk z Petersburga, Moskwy, Kijowa, Saratowa itd,

— Do ministeryum dóbr państwa wniesiono projekt ustawy towarzystwa wzajemnego kredytu dla gorzelników.

— Ministeryum dóbr państwa zajmuje się obecnie sprawą zapewnienia dalszego rozwoju drobnym fabrykom oleju.

Handel. Kilku rzeźników warszawskich zawiązuje spółkę dostarczania mięsa w różnych gatunkach dla restauracyj i domów prywatnych. Za złożeniem pewnej kwoty za cały miesiąc z góry abonent otrzyma książeczkę do prowadzenia rachunku, według najniższych cen targowych, zamieszczonych w taksie magistratu. Rachunki będą regulowane co miesiąc przez specyalnego inkasenta. Abonenci roczni otrzymają pewien procent w gotówce. Spółka ma rozpocząć swoją działalność w bieżącym miesiącu.

— Sfery rządowe opracowują obecnie przepisy, dotyczące zatwierdzenia ustaw wszełkich towarzystw akcyjnych, organizowanych w celach handlowych. Departament przemysłu i handlu będzie miał prawo w pewnych razach przyspieszać zatwierdzanie ustaw tych towarzystw.

Urodzaje zeszłoroczne — według centralnego komitetu statystycznego w Rosyi europejskiej — dały o 73,350,000 pudów zboża mniej, niż w r. 1888.

Cholera — według doniesień konsularnych w Persyi — zabrała w ostatnich dwu miesiącach r. z. w Chorastanie 3,800 ofiar; w Meszedzii umierało dziennie po 100 osób.

Wiadomości administracyjne. W zbiorze taryf ogłoszono rozporządzenie ministra komunikacyi, zabraniające zarządom kolejowym i agentom ściągania od wysyłających towary deklaracyj o ubezpieczeniu.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzona będzie wkrótce komisya w celu rewizyi ustawy budowlanej. Do składu, prócz architektów i techników, wejdą przedstawiciele ministeryów: wojny, marynarki i komunikacyj.

Społeczne. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa dobroczynności w Ostrowie (gub łomżyńska).

— Warszawska Rada dobroczynności publicznej wystąpiła z przedstawieniem do władzy wyższej o stały zasiłek dla domu podrzutków, stanowiącego obecnie osobny zakład przy szpitalu Dzieciątka Jezus, gdyż, jak wykazały ostatnie rachunki za rok zeszły, niedobór sięga już 50,000 rs.

Sztuka. Wojciech Gerson wykończył obraz historyczny p. t. „Opiekunowie króla.“

— Otwarto w Warszawie wystawę prac uczenic szkoły malarskiej L. Wiesiołowskiego.

— Warszawski komitet Towarzystwa sztuk pięknych zwrócił się do malarzy z żądaniem usunięcia z wystawy dzieł sztuki, których termin pozostawania tamże minął.

Rusk. Wied. donoszą, że już w r. b. mają być przedłużone wakacye letnie dla uczniów szkół.

Kasy. Z dniem 1 b. m. rozpoczęła czynność nowootworzona kasa zaliczkowo-wkładowa Instytutu muzycznego w Warszawie.

— Kielecka kasa pożyczkowa przemysłowców rozwija się pomyślnie. Z początkiem r. z. liczyła uczestników 251, z początkiem litsopada — 383.

Bibliografia. B. Prus, *Lalka*, powieść w trzech tomach, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. M. Konopnicka, *Wybór poezyj* (wydanie w ozdobnej oprawie), Warszawa, Gebethner i Wolff.

— St. hr. Rzewuski, *Hrabia Witold*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— St. Botwiński, *Bibliografia prawnicza* z ostatnich lat dwunastu (1878—1889).

— *Wielka encyklopedya powszechna* ilustrowana, zeszyt 1 tomu I.

Zmarli. Jan Kryński, w Warszawie, artysta rzeźbiarz; żył lat 40.

— Havet, prof. wymowy łacińskiej w Collége de France i autor „Jésus dans l'histoire“ (odpowiedź na dzieło Renana).

— Alessandro Rinaldini, w Medyolanie, malarz włoski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Eleonorze. Do uniwersytetów ruskich kobiety nie mają wstępu; w zagranicznych trzeba złożyć egzamin cząstkowy, zależny od wymagań miejscowych i wydziału.

Panu A. Gr. w Aleksiejówce. Podręczniki Webera i Weltera.

H. K. Wiersz Pański nie posiada żadnej z zalet poezyi.

J. R. Niech Pan zaznajomi się z nauką Buddy i metampsychozy — utwór ten będzie zrozumiałym.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Świeżo opuścił prasę

1-szy ZESZYT WIELKIEJ ENCYKLOPEDYI POWSZECHNEJ ILUSTROWANEJ

wydawanej nakładem S. Sikorskiego.

W zeszycie tym znajdują się artykuły opracowane przez najpierwsze siły naukowe, a mianowicie: pp. Dr. J. Aleksandrowicza, ks. J. Białkowskiego, P. Chmielowskiego, Dr. J. Cylkowa, E. Diehla, E. Grabowskiego, F. Jeziorańskiego, K. Kaszewskiego, T. Korzona, S. Kramsztyka, A. A. Kryńskiego, Dr. H. Łuczkiewicza, W. Marrène, F. K. Martynowskiego, W. Nałkowskiego, Dr. A. Okolskiego, Dr. A. Pawińskiego, W. Smoleńskiego, A. Smolikowskiego, A. Szumowskiego, J. A. Święcickiego i w. in.

Wielka Encyklopedya Powszechna obejmie około 40 tomów, a w nich 300 tablic obrazowych i 5,000 drzeworytów w tekście.

W celu ułatwienia nabycia tego olbrzymiego dzieła, przedpłata jest przyjmowaną nietylko na tomy, lecz i na zeszyty.

Cena zeszytu 50 kop. — Cena każdego tomu 4 rs.
Na przesyłkę pocztową dopłaca się 15 kop. od zeszytu, lub 20 k. za każde 2 zeszyty. Wnoszący należność odrazu za 24 zeszytów, czyli za 3 tomy, nie będą ponosić kosztów przesyłki, więc ***zapłacą tylko 12 rs. zamiast 14 rs. 40 kop.***

Ponieważ ilość nakładu przy wielkich kosztach wydawnictwa, musi być zastosowaną do ilości zapisów, przeto po wyjściu trzeciego zeszytu, cena dla nowoprzybywających prenumeratorów zostanie ***znacznie podwyższoną,*** *tak że każdy tom zamiast 4 rs.,* ***kosztować będzie 5 rs.***

Przedpłatę nadsyłać należy do redakcyi „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej“ w Warszawie, Chmielna 30.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Января 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.